[illegible]

FRANK WEDEKIND.

PRZEBUDZENIE SIĘ WIOSNY

TRAGEDJA
DZIECIĘCA

WARSZAWA
DRUKARNIA H. OBERFELDA
KRAK. PRZEDMIEŚCIE № 58.
1907.

Zamaskowanemu panu

Autor.

Akt I.

SCENA PIERWSZA

(Pokój mieszkalny)

WENDLA.

Dlaczego mi uszyłaś, mamo, taką długą suknię?

PANI BERGMAN.

Przecież dziś kończysz czternaście lat!

WENDLA.

Wolałabym nigdy nie skończyć czternastu lat niż mieć taką długą suknię.

PANI BERGMAN.

Ta suknia nie jest za długą, Wendlo. Czegóż ty chcesz! Cóżem ja winna, żeś jeszcze o dwa cale urosła. Taka duża dziewczyna nie może nosić krótkiej sukienki.

WENDLA.

W każdym razie lepiej mi w mojej krótkiej sukience aniżeli w tej powłóczystej szacie. Pozwól mi ją jeszcze nosić, mamo. Tylko przez to jedno lato Na ten ubiór pokutny dość będzie jeszcze czasu, gdy skończę lat piętnaście. Schowajmy go do następnych urodzin. Teraz spuściłabym tylko zakładkę.

PANI BERGMAN.

Nie wiem doprawdy co ci mam odpowiedzieć. Ja sama wolałabym. moje dziecko, żebyś została właśnie taką, jaką jesteś dzisiaj. Inne dziewczyny w twoim wieku są niezgrabne i kościste. Ty zaś przeciwnie — kto wie jaką będziesz, gdy się inne rozwiną.

WENDLA.

Kto wie — może mnie już nie będzie wcale.

PANI BERGMAN.

Dziecko, drogie dziecko, skąd do ciebie takie myśli?

WENDLA.

To nic, kochana mamo, niech cię to nie zasmuca.

PANI BERGMAN.

(*całując ją*) Moja ty pieszczotko!

WENDLA.

Nachodzą mnie one wieczorem zanim usnę. Nie jest mi wówczas wcale smutno i wiem, że potem będę lepiej jeszcze spała. Czy to grzech, mamo, myśleć o tem?

PANI BERGMAN.

A więc powieś w szafie ten pokutny ubiór! Zostań w imię Boże w twej krótkiej sukience. Później przyszyję ci do niej falbankę.

WENDLA.

(*wieszając suknię w szafie*)

Doprawdy, że wolałabym już odrazu skończyć dwadzieścia lat...

PANI BERGMAN.

Żeby ci tylko nie było za zimno! Ta sukienka dawniej była ci w miarę, ale...

WENDLA.

Teraz, gdy lato nadchodzi? O mamo, w kolanach nawet i dzieci małe nie miewają dyfterytu! Nie można być tak lękliwą. W moim wieku jeszcze się nie marźnie, a już najmniej marzną nogi. Czy lepiej byłoby gdyby mi było za gorąco, mamo? Bądź zadowolona, że twoja pieszczotka nie obcięła jeszcze dotąd rękawów i nie ukazała ci się w zmroku wieczornym bez bucików

i pończoch. Gdy włożę mą pokutniczą szatę, ubiorę się od spodu jak królowa elfów... Nie gniewaj się mateczko! Przecież wówczas tego nikt nie będzie widział.

SCENA DRUGA.

(*Niedziela—wieczór.*)

MELCHJOR.

To za nudne. Ja już nie gram.

OTTON.

I my możemy zaprzestać! — Czyś zrobił zadania Melchjorze?

MELCHJOR.

Grajcie dalej.

MAURYCY.

Dokąd idziesz?

MELCHJOR.

Idę się przejść.

JERZY.

Już się ściemnia!

ROBERT.

Czyś już zrobił zadania?

MELCHJOR.

Czemużbym się nie miał przejść po ciemku?

ERNEST.

Ameryka środkowa! — Ludwik piętnasty! — Sześćdziesiąt wierszy Homera! — Siedem równań!

MELCHJOR.

Przeklęte zadania.

JERZY.

Żeby choć nie było na jutro łacińskiego ćwiczenia!

MAURYCY.

Nie można o niczem pomyśleć, żeby te zadane lekcje nie przeszkodziły.

OTTON.

Ja idę do domu.

JERZY.

Ja także, skończę lekcje.

ERNEST.

Ja także, ja także.

ROBERT.

Dobranoc, Melchjorze.

MELCHJOR.

Spokojnej nocy.

(*wszyscy odchodzą, prócz Melchjora i Maurycego*).

MELCHJOR.

Chciałbym wiedzieć po co my żyjemy właściwie na świecie.

MAURYCY.

Wolałbym zostać dorożkarskim koniem. Po co my chodzimy do szkoły. — Chodzimy po to do szkoły, aby nas mogli egzaminować! — a po co nas egzaminują? — Aby nas ścinać. Siedmiu musi nie zdać już choćby dlatego, że w pokoju na górze jest tylko sześćdziesiąt miejsc. — Tak mi jest dziwnie od Bożego Narodzenia... niech djabli wezmą, żeby nie lato, dziś jeszcze spakowałbym węzełek i ruszyłbym do Altony.

MELCHJOR.

Mówmy o czem innem.

(*Przechadzają się*)

MAURYCY.

Czy widzisz tego czarnego kota z wyprężonym ogonem?

MELCHJOR.

Czy wierzysz w przepowiednie?

MAURYCY.

Nie jestem pewien. — On przyszedł stamtąd. To nic nie znaczy.

MELCHJOR.

Sądzę, że to jest Charybda, w którą każdy wpada jak się wydostaje ze Scylli religijnego obłędu... Usiądźmy tu pod tym bukiem. Wiatr ciepły owiewa góry. Chciałbym być teraz młodą dryjadą i kołysać się przez całą długą noc tam na górze w lesie pomiędzy najwyższymi wierzchołkami drzew...

MAURYCY.

Melchjorze, odepnij kamizelkę!

MELCHJOR.

Ha—jakże mi wiatr podwiewa ubranie.

MAURYCY.

Ściemnia się tak, że własnej ręki przed oczami nie widać.—Czy sądzisz Melchjorze, że wstydliwość u człowieka jest także tylko produktem wychowania?

MELCHJOR.

Myślałem o tem właśnie dopiero wczoraj. W każdym razie zdaje mi się być głęboko zakorzenioną w ludzkiej naturze. Pomyśl, gdybyś miał się zupełnie rozebrać w oczach twego najlepszego przyjaciela. Nie zrobisz tego, chyba że i on uczyni to samo.—Jestto zresztą także mniej lub więcej kwestja mody.

MAURYCY.

Ja już postanowiłem, że gdybym miał dzieci, chłopców i dziewczęta, to kazałbym im od dzieciństwa sypiać razem w jednym pokoju, jeśli możliwe na jednem posłaniu, każę im przy ubieraniu pomagać sobie wzajemnie, a w gorącą letnią porę chłopców i dziewczęta ubiorę w krótkie tuniki z białej wełny ściągnięte skórzanym paskiem.—Zdaje mi się, że dorastając byliby o wiele spokojniejsi aniżeli my.

MELCHJOR.

To pewna Maurycy! — Ale jakby twoje dziewczęta miały dzieci, co wtedy?

MAURYCY.

Jakto — miały dzieci!

MELCHJOR.

Wierzę w pewien instynkt pod tym względem. Sądzę naprzykład, że jeżeliby zamknąć od wczesnej młodości razem kota z kotką i trzymać ich w odosobnieniu od reszty świata, czyli pozostawić ich własnym popędom — to kotka jednak prędzej czy później okaże się ciężarną, choćby nie mieli przed oczami żadnego przykładu do naśladowania.

MAURYCY.

U zwierząt musi się to w końcu samo przejawić.

MELCHJOR.

U ludzi tembardziej! Proszę cię Maurycy, jeżeliby twoi chłopcy spali razem z dziewczętami na tem samem posłaniu, a poczuliby pierwsze erekcje, założyłbym się...

MAURYCY.

Co do tego może masz i słuszność, ale w każdym razie...

MELCHJOR.

A z twoimi dziewczętami stałoby się w odpowiednim wieku toż samo! Nie żeby dziewczyna właśnie... rozumie się tego nie można dokładnie określić... w każdym razie można przewidywać... a ciekawość zrobiłaby swoje.

MAURYCY.

Jeszcze jedno pytanie.

MELCHJOR.

O co chodzi?

MAURYCY.

Ale odpowiesz?

MELCHJOR.

Rozumie się.

MAURYCY.

Doprawdy?

MELCHJOR.

Oto moja ręka... A więc Maurycy?

MAURYCY.

Czyś już napisał wypracowanie?

MELCHJOR.

Mów co ci leży na sercu! tu nas nikt nie widzi i nie słyszy.

MAURYCY.

Dzieci moje musiałyby cały dzień pracować w podwórzu i ogrodzie, albo też bawić się w gry, połączone z fizycznym wysiłkiem. Jeździłyby konno, gimnastykowały się, wspinały na drzewa i przedewszystkiem, sypiałyby na posłaniu nie tak miękkiem, jak nasze. Jesteśmy strasznie rozpieszczeni — Sądzę, że na twardem posłaniu sypia się bez snów.

MELCHJOR.

Ja sypiam od dziś, aż do zbioru winogron tylko w hamaku. Łóżko postawiłem za piecem. Jest ono składane.—Zeszłej zimy

śniło mi się, żem naszego Lola okropnie zbatożył. To był najstraszniejszy z moich snów. — Czemu tak dziwnie mi się przyglądasz?

MAURYCY.

Czyś ty już doznał?

MELCHJOR.

Czego?

MAURYCY.

Jakeś to nazwał?

MELCHJOR.

Erekcji?

MAURYCY.

M... hm.

MELCHJOR

Rozumie się!

MAURYCY.

Ja też— . — . — . — . — . — . —
— . — . — . — . — . — . — . — —

MELCHJOR.

Właściwie znam je oddawna! — już blizko od roku.

MAURYCY.

Ja byłem jak piorunem rażony.

MELCHJOR.

Śniło ci się?

MAURYCY.

Ale to był krótki sen... o nogach w jasno niebieskich trykotach, które przechodzą nad katedrą,—jeśli mam być szczerym, zdawało mi się, że chcą przeskoczyć! Mignęły mi tylko w przelocie.

MELCHJOR.

Jerzy Zirschnitz śnił o swej własnej matce.

MAURYCY.

Czy on ci sam to opowiadał?

MELCHJOR.

Tak, tam przy drodze!

MAURYCY.

Gdybyś ty wiedział, com ja przeszedł tej nocy.

MELCHJOR.

Wyrzuty sumienia?

MAURYCY.

Wyrzuty sumienia?.... Strach śmiertelny.

MELCHJOR.

Boże...

MAURYCY.

Uważałem się za nieuleczalnie chorego. Myślałem że to wewnętrzne uszkodzenie.— Wreszcie uspokoiło mnie to, że zacząłem spisywać wspomnienia z mego życia. Ach, kochany Melchjorze, ostatnie trzy tygodnie były dla mnie istnym ogrójcem.

MELCHJOR.

Ja byłem swojego czasu mniej więcej na to przygotowanym. Wstydziłem się trochę.

MAURYCY.

A przecież jesteś prawie o cały rok młodszy odemnie.

MELCHJOR.

Nad tem nie ma się co zastanawiać. Sądząc z doświadczenia, które posiadam pierwsze przebudzenie się tych wizji nie łączy się z wiekiem ściśle określonym.— Czy znasz dużego Lamermeyera z żółtemi włosami i orlim nosem? Jest on o trzy lata starszy odemnie. Jaś Rilow powiada, że dotąd śni mu się tylko torcik i brzoskwiniowa galareta.

MAURYCY.

Proszę cię, jak może Jaś Rilow wydawać sąd w tej kwestji.

MELCHJOR.

Pytał się go o to.

MAURYCY.

Pytał się go o to? — Nie ośmieliłbym się pytać o to nikogo.

MELCHJOR.

Przecież mnie się spytałeś.

MAURYCY.

Bóg wie zresztą. – Możliwe, że Jaś Rilow spisał już swój testament.—Doprawdy dziwną grę prowadzą z nami. I za to mamy być wdzięczni. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek odczuwał tęsknotę za podobnymi wzruszeniami. Pragnąłbym spać spokojnie, dopókiby się znowu wszystko nie uspokoiło. Moi kochani rodzice mogliby mieć stu synów lepszych odemnie. Nie wiem w jaki sposób przyszedłem na świat i teraz mam być za to odpowiedzialnym. Czyś ty się kiedy zastanawiał nad tem Melchjorze, w jaki sposób dostajemy się w ten odmęt.

MELCHJOR.

A więc ty nie wiesz tego dotąd Maurycy?

MAURYCY.

Skądże mam wiedzieć? — Widzę jak kury składają jajka i słyszę, jakoby mnie

mama pod sercem nosić miała. Ale czy to wystarcza. — Przypominam sobie, że już jako pięcioletnie dziecko mięszałem się na widok dekoltowanej kierowej damy. To uczucie już zatraciłem. Za to nie mogę dziś nigdy prawie mówić z dziewczyną, aby przytem nie myśleć o czemś ohydnem — a jednak przysięgam ci Melchjorze, że sam nie wiem o czem.

MELCHJOR.

Ja ci wszystko opowiem. Wiem to po części z książek, częścią z ilustracji, a trochę z obserwacji natury. Będziesz zdumiony; w swoim czasie zostałem ateistą. Opowiedziałem to również Jerzemu Zirschnitz; Jerzy Zirschnitz chciał opowiedzieć Jasiowi Rilow, ale Jaś Rilow, dzieckiem jeszcze będąc, dowiedział się o wszystkiem od swej guwernantki.

MAURYCY.

Przestudjowałem encyklopedję od A do Z. Słowa — nic tylko słowa i słowa! Ani jednego naturalnego objaśnienia. O ta wstydliwość! — Co mi to za encyklopedja, która na najpierwsze pytania życiowe nie daje odpowiedzi.

MELCHJOR.

Czyś ty już kiedy widział dwa psy goniące się po ulicy?

MAURYCY.

Nie!.. Lepiej mi dziś jeszcze nie mów Melchjorze. Jeszcze mam na dziś Amerykę środkową i Ludwika piętnastego. Do tego sześćdziesiąt wierszy Homera, siedem równań, łacińskie wypracowanie — jutro bym się znowu pościnał. Aby kuć z powodzeniem, muszę być tępym jak wół.

MELCHJOR.

Chodźże do mego pokoju. W trzy kwadranse będę umiał Homera, zrobię równania i dwa ćwiczenia. Wpakuję ci parę nieszkodliwych byków i sprawa będzie załatwiona. Mama przyrządzi nam lemoniadę i pogadamy spokojnie o rozmnażaniu.

MAURYCY

Nie mogę. — Nie mogę spokojnie mówić o rozmnażaniu! Jeżeli chcesz mi wyrządzić przysługę, udziel mi swoich wskazówek piśmiennie. Napisz mi co wiesz. Wyłóż mi możliwie krótko i jasno, a kartkę wsuniesz mi jutro na lekcji gimnastyki pomiędzy książki. Zaniosę ją do domu, sam nie

wiedząc o niej. Kiedyś znajdę ją niespodzianie. Spojrzę zmęczonem okiem.... Gdyby było niezbędnie potrzebne, na marginesie dodaj rysunki.

MELCHJOR.

Jesteś jak dziewczyna. — Zresztą jak chcesz! Będzie to wcale interesująca robota... Jeszcze jedno pytanie Maurycy.

MAURYCY.

Hm?

MELCHJOR.

Czyś ty już kiedy widział dziewczynę?

MAURYCY.

Tak!

MELCHJOR.

Ale czy *dokładnie?*

MAURYCY.

Najzupełniej. —

MELCHJOR.

Ja bowiem widziałem! — Wobec tego zbyteczne będą ilustracje.

MAURYCY.

Było to podczas święta strzeleckiego w anatomicznem muzeum. Gdyby się to

wydało, wyrzuciliby mnie ze szkoły.—Piękna była jak dzień i — o tak naturalna!

MELCHJOR.

Ja byłem ostatniego lata z mamą w Frankfurcie... Odchodzisz Maurycy?

MAURYCY.

Idę się uczyć... Dobranoc.

MELCHJOR.

Do widzenia.

SCENA TRZECIA.

(*Tea, Wendla i Marta wchodzą pod rękę*).

(*Ulica*).

MARTA.

Jakżem ja przemoczyła buciki.

WENDLA.

Jakże mi wiatr owiewa policzki.

TEA.

Jakże mi serce bije.

WENDLA.

Chodźmy na most! Ilza mówiła, że woda niesie krzaki i drzewa. Chłopcy zbudowali tratwę na rzece. Melchi Gabor wczoraj wieczorem o mało nie utonął.

TEA.

O ten umie pływać!

MARTA.

I ja tak myślę, moje dziecko!

WENDLA.

Gdyby nie umiał pływać, napewno by utonął.

TEA.

Warkocz ci się rozplata Marto, warkocz ci się rozplata!

MARTA.

Phy — niech się rozplecie! Złości mnie tylko w dzień i w nocy. Obciąć włosów krótko, jak tobie, mi nie wolno, rozpuścić, jak Wendla, mi nie wolno, grzywki mi nie wolno, a w domu muszę nawet włosy upinać — wszystko dla tych ciotek!

WENDLA.

Przyniosę jutro nożyczki na lekcję religji. Podczas, gdy będziesz recytować, obetnę ci warkocz.

MARTA.

Bój się Boga, Wendlo! Ojciec zbiłby mnie na kwaśne jabłko, a mama zamknęłaby mnie na trzy noce do komórki z węglami.

WENDLA.

Czemże cię bije Marto?

MARTA.

Czasem zdaje mi się, że ulżyłoby im, gdyby się pozbyli takiego nieudanego dziecka.

TEA.

Ależ dziewczyno!

MARTA.

Czy tobie również nie wolno było przewlec karczka u koszuli niebieską wstążką?

TEA.

Ja mam różową atłasową! Mama utrzymuje, że przy moich czarnych oczach lepiej mi w różowej.

MARTA.

Mnie było ślicznie w niebieskiej!—Mama za warkocz wyciągnęła mnie z łóżka. Więc — upadłam na ręce na klepisko. — Mama modli się co wieczór z nami....

WENDLA.

Ja na twoim miejscu dawno byłabym uciekła w świat.

MARTA.

...Otóż to właśnie do czego zmierzam!— Ale ona chce zobaczyć—o, ona chce jeszcze

zobaczyć! — Mojej matce przynajmniej nie będzie można robić wyrzutów....

TEA.

Uh — Uh.

MARTA.

Czy ty się domyślasz, Teo, co moja matka chciała przez to powiedzieć?

TEA.

Ja nie. — A ty Wendlo?

WENDLA.

Ja bym się jej wprost o to zapytała.

MARTA.

Ja leżałam na ziemi i krzyczałam i wyłam. Wtem nadszedł tato. Szarpnął i zdarł ze mnie koszulę. Ja do drzwi. Otóż to! Pewnie takbym wyjść chciała na ulicę...

WENDLA.

To chyba nieprawda Marto?

MARTA.

Marzłam. Otworzyłam drzwi z klucza. Całą noc musiałam spać w worku.

TEA.

Za nic w świecie nie chciałabym spać w worku.

MARTA.

Żeby mnie tylko nie bili.

TEA.

Ależ udusić się można!

MARTA.

Głowa zostaje odkrytą. Zawiązuje się pod brodą.

TEA.

I potem cię biją?

MARTA.

Nie, chyba w niezwykłym wypadku.

WENDLA.

Czem oni cię biją Marto?

MARTA.

Ach, czem popadnie.—Czy twoja matka także uważa za nieprzyzwoitość, gdy się w łóżku je chleb?

WENDLA.

Wcale nie.

MARTA.

Czasami zdaje mi się, że im to jednak sprawia przyjemność — choć nic o tem nie mówią.—Gdy kiedyś będę miała dzieci, dam im wyrosnąć, jak zielsku w naszym ogrodzie. O zielsko nikt się nie troszczy, a wyrasta

ono tak wysoko i gęsto, — podczas gdy róże w klombach, przy swoich tyczkach, co rok marniej kwitną.

TEA.

Gdy będę miała dzieci, ubierać je będę zawsze różowo. Różowe kapelusze, różowe sukienki, różowe buciki. Tylko pończoszki— pończoszki—czarne jak noc. Gdy pójdę na spacer, każę im wszystkim iść naprzód parami przed sobą. A ty Wendlo?

WENDLA.

Skądże wiedzieć możecie, czy wogóle będziecie miały dzieci.

TEA.

Czemużbyśmy ich mieć nie miały?

MARTA.

Ciotka Eufemja nie ma ich wcale.

TEA.

Gąsko! — bo jest niezamężna.

WENDLA.

Ciotka Bauer była trzy razy zamężną, a nie ma ani jednego dziecka.

MARTA.

Jak będziesz miała dzieci Wendlo, cobyś wolała, chłopców, czy dziewczęta?

WENDLA.

Chłopców, chłopców!

TEA.

Ja także chłopców!

MARTA.

Ja także. Raczej dwudziestu chłopców, aniżeli trzy dziewczyny.

TEA.

Dziewczyny są nudne.

MARTA.

Gdyby nie to, że jestem już dziewczyną, nie chciałabym za nic nią zostać.

WENDLA.

To rzecz gustu, Marto! Ja się codzień cieszę, że jestem dziewczyną. Wierzaj mi, nie zamieniłabym się z synem królewskim. Pomimo to jednak, chciałabym mieć tylko chłopców.

TEA.

To przecież głupstwo, tylko głupstwo Wendlo!

WENDLA.

Ależ, proszę cię, dziecko, przecież to chyba tysiąc razy wznioślej posiąść miłość mężczyzny, aniżeli dziewczyny.

TEA.

Przecież nie zechcesz utrzymywać, że referendarz Pfalle kocha więcej Melittę, aniżeli ona jego.

WENDLA.

Stanowczo tak utrzymuję, Teo! Pfalle jest dumnym, Pfalle jest dumnym z tego, że jest referendarzem, — bo zresztą Pfalle jest zupełnie biedny. Melitta jest szczęśliwa, bo dostaje dziesięć tysięcy razy więcej, aniżeli jest sama warta.

MARTA.

Czy ty nie jesteś dumną z siebie Wendlo?

WENDLA.

To byłoby przecież głupie.

MARTA.

Jakżebym ja była dumną z siebie na twoim miejscu!

TEA.

Patrz, jak ona nogi stawia — jak przed siebie patrzy, jak ona się trzyma, Marto! Jeżeli to nie jest dumą!

WENDLA.

Dlaczego? Jestem tak szczęśliwa, że jestem dziewczyną, gdybym nią nie była, zabiłabym się, abym następnym razem...

MELCHJOR.

(*mija je, kłaniając się*)

TEA.

On ma cudowną głowę.

MARTA

Takim sobie wyobrażam młodego Aleksandra, gdy chodził do szkoły Arystotelesa.

TEA

Miły Boże, historja Grecji!—Ja pamiętam tyle tylko jeszcze, że Sokrates w beczce leżał, kiedy mu Aleksander sprzedawał cień osła.

WENDLA.

Podobno jest trzecim w klasie.

TEA.

Profesor Knochenbruch mówi, że gdyby zechciał, mógłby być prymusem.

MARTA.

On ma śliczne czoło, ale jego przyjaciel ma bardziej uduchowione spojrzenie.

TEA.

Maurycy Stiefel?—Cóż to za szlafmyca.

MARTA.

Ja z nim zawsze przyjemnie gawędziłam.

TEA.

Tylko wszędzie z nim kompromitacja. Na baliku u Rilowów częstował mnie pralinkami Wystaw sobie Wendlo, że były miękkie i ciepłe. To też jest?.. Powiedział, że trzymał je za długo w kieszeni... spodni.

WENDLA.

Wystaw sobie Melchi Gabor powiedział mi wówczas, że w nic nie wierzy — ani w Boga, ani w życie przyszłe — nie wierzy już w nic na świecie.

SCENA CZWARTA.

Park koło gimnazjum. Melchjor, Otton, Jerzy, Robert, Jaś Rilow, Lemermajer.

MELCHJOR.

Czy nie wiecie, gdzie się podziewa Maurycy Stiefel?

JERZY.

Ten źle skończy! — O ten źle skończy.

LEMERMAJER.

Tam do djabła, nie chciałbym być w tej chwili w jego skórze.

ROBERT.

To jest śmiałość! — To bezczelność!

MELCHJOR.

Co... co..? Co takiego?

JERZY.

Co takiego? — No, ja ci powiadam...

LEMERMAJER.

Lepiej nie mówić o tem!

OTTON.

Pewnie że nie — jak mi Bóg miły!

MELCHJOR.

Jeśli mi natychmiast nie...

ROBERT.

Krótko mówiąc, Maurycy Stiefel dostał się do sali sesjonalnej.

MELCHJOR

Do sali sesjonalnej...

OTTON.

Do sali sesjonalnej! Zaraz po lekcji łaciny.

JERZY.

Umyślnie został dłużej, wyszedł ostatni.

LEMERMAJER.

Kiedym skręcał na korytarz, widziałem, jak drzwi otwierał.

MELCHJOR.

A niech cię wszyscy djabli...

LEMERMAJER.

Żeby tylko jego djabli nie wzięli!

JERZY.

Prawdopodobnie rektor zostawił klucz.

ROBERT.

Albo też Maurycy Stiefel posiada wytrych.

OTTON.

To mi na niego wygląda.

LEMERMAJER.

Jak dobrze pójdzie, odsiedzi on za to w niedzielę.

ROBERT.

I otrzyma złe świadectwo.

JAŚ RILOW.

Otoż i on.

MELCHJOR.

Blady jak płótno.

(*Maurycy wchodzi w najwyższem podnieceniu*).

LEMERMAJER.

Maurycy, Maurycy coś ty zrobił?

MAURYCY.

Nic... nic...

ROBERT.

Ty masz gorączkę!

MAURYCY.

To tak z radości... ze szczęścia...

OTTON.

Przyłapali cię?!

MAURYCY.

Mam promocję!—Melchjorze mam promocję!—O teraz niech się świat zapadnie!—Ktoby uwierzył, że dostanę promocję? — Ja sam tego jeszcze nie pojmuję!—Dwadzieścia razy czytałem!—nie mogę temu uwierzyć—wielki Boże, to jednak prawda!—To jednak prawda! Mam promocję (*z uśmiechem*). Nie wiem — tak mi jakoś dziwnie — w głowie mi się mąci... Melchjorze, Melchjorze, żebyś ty wiedział ilem ja przeszedł.

JAŚ RILOW.

Winszuję ci Maurycy.—Twoje szczęście, że ci się tak udało.

MAURYCY.

Ty nie wiesz, Jasiu, nie domyślasz się, co ja postawiłem na kartę. Od trzech

tygodni przesuwałem się koło tych drzwi, jak koło bramy piekielnej. Dziś widzę, że są uchylone. Za żadne skarby świata — za nic, o, za nic nie dałbym się powstrzymać!— Stoję na środku pokoju — otwieram dziennik—przerzucam karty... a przez ten cały czas. . Dreszcz mnie przejmuje.—

MELCHJOR.

...przez ten cały czas?

MAURYCY.

Przez ten cały czas czuję za plecami uchylone drzwi. Jakim sposobem wyszedłem... jak udało mi się zejść ze schodów, nie wiem doprawdy sam.

JAŚ RILOW.

Czy Ernest Rebel dostanie też promocję?

MAURYCY.

O z pewnością, Jasiu, z pewnością!— Ernest dostanie także promocję.

ROBERT.

Chyba się mylisz. Nie licząc oślej ławki jest nas razem z tobą i Reblem sześćdziesięciu i jeden, a w klasie na górze mieści się tylko sześćdziesięciu.

MAURYCY.

Nie mylę się zupełnie... Ernest Rebel dostaje promocję również jak i ja — obaj jednakże dostajemy ją tymczasem warunkowo. W ciągu kwartału okaże się kto musi ustąpić. — Biedny Rebel! — Dalibóg, ja się o siebie nie boję! —

OTTON.

Założę się o pięć marek, że ty ustąpisz.

MAURYCY.

Przecież ty biedny jesteś. Nie chcę cię obdzierać. — Mocny Boże, od dziś będę, jak wół pracować. Teraz wam powiem — możecie wierzyć lub nie — już mi to przecież wszystko jedno — ja... ja wiem najlepiej, jak dalece to jest prawdą: gdybym nie dostał promocji, byłbym się zastrzelił.

ROBERT.

Nie chełp się!

JERZY.

Zajęcza skóro!

OTTON.

Chciałbym ja widzieć, jakbyś ty strzelał!

LEMERMAJER.

Wart jesteś policzka!

MELCHJOR.

(policzkuje mówiącego)

Chodź Maurycy. Pójdziemy ku leśniczówce!

JERZY.

Czy ty wierzysz w te żarty?

MELCHJOR.

Co ci do tego?.. Pozwól im gadać Maurycy. Wyjdźmy, wyjdźmy za miasto! —

(Profesorowie Hungergurt i Knochenbruch przechodzą.)

KNOCHENBRUCH.

Pojąć nie mogę, szanowny kolego, jakim sposobem, w najlepszym z moich uczni biorą się takie złe skłonności.

HUNGERGURT.

I ja również, szanowny kolego.

SCENA PIĄTA.

Słoneczne popołudnie. Melchjor i Wendla spotykają się w lesie.

MELCHJOR.

Czyś to ty Wendlo? — Co tu robisz sama? Od trzech godzin chodzę po lesie

wzdłuż i wszerz i nie spotkałem dotąd żywej duszy. Wtem nagle, wychodzisz ty z gęstwiny.

WENDLA.

Tak to ja.

MELCHJOR.

Gdybym nie wiedział, że jesteś Wendla Bergman, myślałbym, że to dryjada, spadła z gałęzi.

WENDLA.

Nie, nie, jestem Wendla Bergman. — Skąd się tu bierzesz?

MELCHJOR.

Idę za biegiem moich myśli.

WENDLA.

Ja szukałam marzanny. Mama chce przygotować ziółka. Nawet miała pójść zemną, ale w ostatniej chwili przyszła ciocia Bauer, a ta nie lubi spacerów. — Więc poszłam sama.

MELCHJOR.

Czyś już nazbierała marzanny?

WENDLA.

Już mam jej pełen koszyk. Tam pod bukami rośnie gęsta, jak koniczyna.—Teraz

chcę wracać. Zdaje się, że zmyliłam drogę. Czy możesz mi powiedzieć, która godzina?

MELCHJOR.

Tylko co minęło wpół do czwartej. — O której cię oczekują?

WENDLA.

Myślałam, że jest już później. Leżałam chwilę nad strumykiem na mchu i śniłam. Czas zeszedł mi tak szybko, obawiałam się, że już wkrótce nadejdzie wieczór.

MELCHJOR.

Jeżeli jeszcze cię nie oczekują, odpocznijmy trochę. Tam pod dębem jest moje ulubione miejsce. Opieram głowę o pień drzewa i przez gałęzie wpatruję się w niebo, to mnie hypnotyzuje. Ziemia rozgrzana słońcem, jest jeszcze ciepła. Już od kilku tygodni chciałem cię o coś spytać, Wendlo.

WENDLA.

Ale przed piątą muszę być w domu.

MELCHJOR.

Pójdziemy potem razem. Wezmę koszyk, wybierzemy krótszą drogę i w dziesięć minut będziemy na moście! — Jak się tak leży, z głową opartą na ręku, przychodzą najdziwaczniejsze myśli...

(*Oboje siadają pod dębem*).

WENDLA.

O co chciałeś zapytać, Melchjorze?

MELCHJOR.

Słyszałem, Wendlo, że odwiedzasz często biednych ludzi. Przynosisz im jedzenie, żywność i pieniądze. Czy robisz to z własnego popędu, czy też matka cię posyła?

WENDLA.

Po większej części posyła mnie mama. Są to rodziny biednych robotników, obarczone dziećmi. Często ojciec nie może znaleźć pracy, wtedy cierpią głód i marzną. U nas leżą w szafach i komodach rzeczy oddawna nieużywane. Ale skąd ci to przyszło na myśl?

MELCHJOR.

Czy chodzisz do nich chętnie, czy też z musu, bo cię matka posyła?

WENDLA.

O bardzo chętnie. Jakże możesz pytać!

MELCHJOR.

Ależ te dzieci są brudne, kobiety chore, mieszkania pełne robactwa, mężczyźni nienawidzą cię za to, że nie pracujesz ....

WENDLA.

To nieprawda, Melchjorze. Ale choćby tak było, tem chętniejbym do nich chodziła.

MELCHJOR.

Jakto, tem chętniej Wendlo?

WENDLA.

Tembardziej poszłabym.—Wtedy jeszcze przyjemniej byłoby mi, żebym mogła ich wspomagać.

MELCHJOR.

A więc chodzisz do biednych dla swojej przyjemności?

WENDLA.

Chodzę do nich, bo są biedni.

MELCHJOR.

Ale gdyby ci to przyjemności nie sprawiało, tobyś nie chodziła.

WENDLA.

Cóżem ja winna, że mi to sprawia przyjemność?

MELCHJOR.

A przecież za to oczekuje cię niebo. A więc to słuszne, co mi od miesiąca nie daje spokoju!—Cóż winien skąpiec, że nie lubi chodzić do chorych, brudnych dzieci?

WENDLA.

O dla ciebie, byłoby to napewno największą radością!

MELCHJOR.

I za cóż skąpiec będzie potępionym! Napiszę o tem traktat i przeszlę go panu pastorowi Kahlbauchowi. To jego wina! Co on nam plecie o poświęceniu!—Jeżeli nie będzie mógł mi odpowiedzieć, nie pójdę więcej na naukę i nie przystąpię do konfirmacji.

WENDLA.

Pocóż tak zasmucać twych dobrych rodziców. Przystąp do konfirmacji, głowy ci przecież nie urwą. Gdyby nie nasze okropne białe suknie i wasze długie spodnie, byłoby to nawet wzruszające.

MELCHJOR.

Nie ma żadnego poświęcenia! Nie ma żadnego zaparcia się siebie! —Widzę ludzi dobrych, którym radość sprawiają ich uczynki — patrzę na ciebie, Wendlo Bergman, jak potrząsasz lokami i uśmiechasz się i ciężko mi na duszy — — — O czem śniłaś, Wendlo, kiedy leżałaś na mchu nad strumykiem?

WENDLA.

— — — o głupstwach — — błazeństwach — —

MELCHJOR.

Z otwartemi oczami?

WENDLA.

Śniłam, że jestem biednem, biednem, żebrackiem dzieckiem, wysyłanem na ulicę od piątej zrana, przymuszanem przez dzień cały do żebraniny na słocie i wichrze, chowanem pomiędzy okrutnymi ludźmi bez serca. A gdy powracam wieczorem do domu, drżąca z zimna i głodu i nie przynoszę tyle, ile mój ojciec wymaga, to mnie bije — bije —

MELCHJOR.

Znam to, Wendlo. Zawdzięczasz to głupim dziecinnym historjom. Wierzaj mi, tak brutalni ludzie dziś już nie istnieją.

WENDLA.

Mylisz się Melchjorze. — Martę Bessel biją tak co wieczór, że nazajutrz jeszcze znać pręgi. O, co ona musi wycierpieć! Gorąco się robi, gdy się o tem słyszy. Jakże mi jej strasznie żal! Często w nocy myśląc o niej zalewam się łzami. Pragnęłabym jej

dopomódz. Z radością zajęłabym jej miejsce, żeby ją zwolnić choć na tydzień.

MELCHJOR.

Powinnoby się poprostu ojca jej zaskarżyć do sądu. Wtedy odebranoby mu dziecko.

WENDLA.

Mnie Melchjorze jeszcze nikt nie uderzył, —ani razu. Ja sobie nawet wyobrazić nie mogę, jak to bywa kiedy kogoś biją. Kiedyś sama się nawet wybiłam, żeby się przekonać co się też wtedy odczuwa. To musi być straszne.

MELCHJOR.

Wątpię, żeby się jakie dziecko w ten sposób poprawiło.

WENDLA.

W jaki sposób?

MELCHJOR.

Jeśli się je bije.

WENDLA.

Naprzykład tą witką! Uh, jaka giętka i cienka.

MELCHJOR.

Można nią do krwi zbić.

WENDLA.

Możebyś mnie raz uderzył?

MELCHJOR.

Kogo?

WENDLA.

Mnie.

MELCHJOR.

Co ci do głowy przyszło?

WENDLA.

Cóż to wielkiego?

MELCHJOR.

O bądź spokojna!—Ja cię nie uderzę.

WENDLA.

Jeżeli ja ci pozwalam!

MELCHJOR.

Nigdy, dziewczyno!

WENDLA.

Ale jeżeli ja cię o to proszę, Melchjorze!

MELCHJOR.

Czyś ty zmysły straciła?

WENDLA.

Mnie jeszcze nikt w życiu nie uderzył.

MELCHJOR.

Jeżeli o coś podobnego możesz prosić...

WENDLA.

— Proszę — proszę —

MELCHJOR.

Ja cię nauczę prosić! *(uderza ją)*

WENDLA.

Ach Boże — nic nie czuję!

MELCHJOR.

Bardzo wierzę, przez wszystkie spódnice.

WENDLA.

Więc uderz mnie przez nogi.

MELCHJOR.

Wendlo! *(uderza mocniej)*

WENDLA.

Głaszczesz mnie!—Głaszczesz mnie tylko

MELCHJOR.

Poczekaj czarownico, wypędzę z ciebie szatana.

(Odrzuca witkę i uderza ją pięściami mocno. Wendla krzyczy przeraźliwie. On nie zwraca uwagi, tylko młóci ją, jak wściekły, podczas gdy łzy gorące płyną mu z oczu. Nagle zrywa się, chwyta się rękami za skronie i ucieka w głąb lasu, łkając rozpaczliwie).

Akt II.

SCENA PIERWSZA.

(Wieczorem w pokoju Melchjora. Okno otwarte, na stole pali się lampa.—Melchjor i Maurycy siedzą na kanapie)

MAURYCY.

Teraz się orzeźwiłem, jestem tylko cokolwiek podniecony. — Ale na lekcji greckiego spałem, jak pijany Polyphem. — To dziwne, że mnie stary Zungenschlag nie wytargał za uszy.—Dziś z rana o mały włos byłbym się spóźnił. — Pierwszą mą myślą po obudzeniu były czasowniki na „mi“. — Do stu piorunów, podczas śniadania i przez całą drogę konjugowałem, aż mi się w głowie mąciło. Wkrótce po trzeciej, musiałem się zdrzemnąć. Pióro wypadło mi z ręki na książkę i poplamiło ją atramentem. Lampa

filowała, kiedy Matylda przyszła mnie budzić; kosy gwizdały wesoło w krzakach bzu—zrobiło mi się wówczas niewymownie smutno. Zapiąłem kołnierzyk i pogładziłem włosy szczotką.—Odczuwa się taki gwałt zadany naturze.

MELCHJOR.

Można ci służyć papierosem?

MAURYCY.

Dziękuję ci, nie palę. Żeby tylko tak dalej poszło. Chcę pracować, pracować, dopóki mi oczy na wierzch nie wyskoczą.—Ernest Rebel od wakacji już sześć razy źle odpowiadał; trzy razy z greckiego, dwa razy Knochenbruchowi, ostatnio z literatury. Ja dopiero pięć razy byłem w tem opłakanem położeniu, a od dziś wogóle już się to więcej nie zdarzy!—Rebel się nie zastrzeli. Rebel niema rodziców, którzy się dla niego poświęcają. Może zostać czem zechce, żołnierzem, cowboy'em, albo marynarzem. Jeżeli ja się zetnę, ojca zabije apopleksja, a mama zwarjuje. Tego ja nie przeżyję. — Przed egzaminami błagałem Boga, aby zesłał mi suchoty, a oddalił ten kielich odemnie. I oddalił — jakkolwiek świeci mi jeszcze z oddali tak, że dzień i noc nie śmiem

podnieść oczu. — Ale kiedy się uchwyciłem, muszę się już trzymać. To już nieubłagana konsekwencja: jeśli upadnę, muszę kark skręcić.

MELCHJOR.

Życie jest niewypowiedzianie podłe. Czasami mam niekłamaną ochotę powiesić się na pierwszej lepszej gałęzi. Czemu to mama nie daje herbaty?

MAURYCY.

Szklanka gorącej herbaty zrobi mi dobrze. Drżę cały. Czuję się tak dziwnie uduchowionym. Proszę cię dotknij mnie tylko. Widzę — słyszę — odczuwam — daleko wyraźniej, — a jednak, jakby przez sen, — jakby w jakimś nastroju. — Tam, w blasku księżyca, rozciąga się ogród, taki cichy, taki głęboki, jakby szedł w nieskończoność. Z pod krzewów wysuwają się mgłą owiane postacie, przesuwają się cicho w świetle i znikają w półcieniu. Zdaje mi się, że pod kasztanem odbywa się jakaś narada. — Czy nie chciałbyś zejść do ogrodu, Melchjorze!

MELCHJOR.

Poczekaj, napijemy się wprzód herbaty.

MAURYCY.

Liście szemrzą bezustannie. Jakbym słyszał opowiadanie nieboszczki babuni o „królowej bez głowy“. Była to cudnie piękna królowa, piękna, jak słońce, najpiękniejsza z dziewcząt w kraju. — Tylko, niestety, przyszła na świat bez głowy. Nie mogła ani jeść, ani pić, nic nie widziała, nie mogła się śmiać, ani całować. Ze swoim dworem porozumiewała się gestami swojej małej, miękkiej rączki. Drobnemi nóżkami wydawała wojnę lub wyroki śmierci. Pewnego razu pokonał ją król, który miał przypadkowo dwie głowy. Te dwie głowy przez cały rok koty ze sobą darły, i tak się przytem kłóciły, że nikomu nie dawały przyjść do słowa. Nadworny czarodziej odjął mniejszą z tych głów i przyprawił ją królowej. I, o dziwo, pasowała znakomicie. Potem król ożenił się z królową i nie darli z sobą kotów, ale całowali się w czoło i w policzki i w usta i żyli szczęśliwie długie, długie lata... Przeklęta głupota. Od wakacji myślę ciągle o bezgłowej królewnie. Kiedy mówię z ładną dziewczyną, widzę ją bez głowy—i sam się sobie wydaję bezgłową królewną.. Może mi jeszcze kiedy nową głowę przyprawią.

(Pani Gabor wchodzi z gorącą herbatą, którą stawia na stole przed Maurycym i Melchjorem)

PANI GABOR.

Pijcie, dzieci, niech wam będzie na zdrowie. Dobry wieczór, panie Stiefel. co pan porabia?

MAURYCY.

Dziękuję pani. — Podsłuchuję szmeru drzew tam na dole.

PANI GABOR.

Ale pan nie dobrze wygląda. Czy się pan źle czuje?

MAURYCY.

To nic nie znaczy. Ostatniemi czasy kładłem się spać bardzo późno.

MELCHJOR.

Wystaw sobie, mamo, on pracuje po całych nocach.

PANI GABOR.

Tego nie powinien pan robić, panie Stiefel. Powinien się pan oszczędzać. Trzeba myśleć o swojem zdrowiu. Szkoła panu zdrowia nie wróci. W pańskim wieku więcej znaczy spacer na świeżem powietrzu, aniżeli poprawny styl.

MAURYCY.

Słusznie pani mówi. Będę używał spacerów. Na spacerze można się także uczyć. Że ja też sam na tę myśl nie wpadłem!— Piśmienne zadania muszę jednak w domu odrabiać.

MELCHJOR.

Piśmienne zadania odrobisz zemną, będzie nam obu łatwiej. Wiesz przecie, mamo, że Max von Trenk chorował na nerwową gorączkę! — Dziś w południe przyszedł Jaś Rilow wprost od jego łóżka do rektora Zonensticha, aby go zawiadomić, że Trenk przed chwilą w jego obecności zakończył życie. — „Tak?“ powiada Zonenstich, „czy nie masz dwóch godzin odsiedzić jeszcze z zeszłego tygodnia?—Oto kartka do pedla. Trzeba raz zakończyć tę sprawę. Cała klasa weźmie udział w pogrzebie.“

PANI GABOR.

Co tam masz za książkę Melchjorze?

MELCHJOR.

To Faust Goethego.

PANI GABOR.

Czyś ją już przeczytał?

MELCHJOR.

Nie skończyłem jeszcze.

MAURYCY.

Czytamy właśnie „noc Walpurgji.“

PANI GABOR.

Na twoim miejscu, jeszczebym ze dwa lata z tem poczekała.

MELCHJOR.

W żadnej książce nie znalazłem dotąd tyle piękna. Czemu więc nie miałbym jej czytać.

PANI GABOR.

Bo nie możesz jej jeszcze zrozumieć.

MELCHJOR.

Skądże wiesz o tem, mamo. Czuję dobrze, że objąć tego dzieła w całej jego wspaniałości nie jestem jeszcze w stanie...

MAURYCY.

Czytamy zawsze razem, to ogromnie ułatwia zrozumienie!

PANI GABOR.

Jesteś w tym wieku, Melchjorze, że sam już powinieneś odróżniać, co dla ciebie jest

dobrem, a co szkodliwem. Pamiętaj, że jesteś odpowiedzialnym za swoje czyny. Będę ci wdzięczną, jeżeli mi nigdy nie dasz powodu, abym cię musiała powstrzymywać. Chciałam ci tylko zwrócić uwagę, że nawet najlepszy utwór może się okazać szkodliwym, jeżeli czytelnik nie jest dostatecznie dojrzałym aby go pojąć jak należy.—Mam do ciebie więcej zaufania, aniżeli do wszelkich teorji pedagogicznych .. Jeżeli będziecie jeszcze czego chcieli moje dzieci, to zawołaj mnie Melchjorze. Będę w mojej sypialni.

(*odchodzi*)

MAURYCY.

...Twoja matka miała na myśli historję Małgosi.

MELCHJOR.

Przecież chwilę tylkośmy się nad nią zatrzymali.

MAURYCY.

Sam Faust nie mógł z zimniejszą krwią odsunąć jej od siebie.

MELCHJOR.

Wszakże piękno tego utworu nie polega na sprośnych scenach. Pomimo, że Faust obiecał dziewczynie małżeństwo, pomimo,

że ją potem opuścił, w moich oczach nie zasługuje na karę. Małgosi mogłoby dla mnie nawet serce pęknąć z żalu. — Patrz, jak zaraz każdy na to zwraca uwagę, jakby się świat cały wyłącznie dokoła tego obracał.

MAURYCY.

Mówiąc szczerze, Melchjorze, mam właśnie to uczucie od czasu, jak przeczytałem twoje wypracowanie. — W pierwszych dniach wakacji trzymałem w ręku Pletza, twój rękopis wypadł z książki. Zaryglowałem drzwi i przebiegłem oczami ogniste słowa, zdawało mi się, że pędzę przerażony przez las gorejący, przez zamknięte powieki widziałem płomienne zgłoski. Twoje wyjaśnienia dźwięczały mi w uszach niby szereg mętnych wspomnień, niby pieśń nucona w dziecięcych latach swobodnie i zasłyszana z ust cudzych na łożu śmierci! —Najwięcej rozrzewniło mię to, coś napisał o dziewczynie. Nie mogę się opędzić tym wrażeniom. Wierzaj, Melchjorze, ofiara gwałtu, musi doznawać wiele więcej przyjemności, aniżeli ten, co gwałt zadaje. Uczucie, którego doznaje wówczas niewinna dziewczyna, wydaje mi sie szczytem ziemskiej rozkoszy.

MELCHJOR.

Nie chciałbym rozkoszy brać jak jałmużnę.

MAURYCY.

Dlaczego?

MELCHJOR.

Nie chcę nic, czegobym sam sobie nie wywalczył!

MAURYCY.

Czy to jest wówczas jeszcze rozkoszą?! Dziewczyna, Melchjorze, używa, jak bogowie, broni się do ostatniej chwili, aby naraz ujrzeć nad sobą otwarte niebo. Obawia się ona piekła wówczas jeszcze, kiedy dostrzega już raj rozkwiecony. Wrażliwość jej jest tak świeżą, jak źródło, tryskające ze skały. Chwyta więc puhar, pełen nektaru, nie owiany ziemskim oddechem, którego płonącą zawartość jednym tchem wychyla... Wobec tego zadowolenie mężczyzny jakże jest nędznem i bladem.

MAURYCY.

Możesz mówić co ci się podoba, zachowaj to dla siebie... Ja myślę o tem niechętnie...

SCENA DRUGA.

(Pokój mieszkalny).

PANI BERGMAN.

(W kapeluszu, mantyla, z koszykiem na ręku wchodzi z rozjaśnioną twarzą przez drzwi.)

Wendlo! — Wendlo!

WENDLA.

(Ukazuje się w spódniczce i gorsecie we drzwiach na prawo)

Czego chcesz, mamo?

PANI BERGMAN.

Już wstałaś, moje dziecko?—To bardzo ładnie!

WENDLA.

Wychodziłaś już mamo?

PANI BERGMAN.

Ubierz się prędko! — Musisz pójść zaraz do Iny. Musisz jej zanieść ten koszyk!

WENDLA.

(kończąc ubieranie)

Byłaś u Iny?—jakże się Ina miewa?—Czy nic nie lepiej?

PANI BERGMAN.

Wystaw sobie Wendlo, dziś w nocy był u niej bocian i przyniósł jej małego chłopczyka.

WENDLA.

Chłopca?—Chłopca!—O to ślicznie!... Dlatego ta długotrwała influenza!

PANI BERGMAN.

Wspaniałego chłopca!

WENDLA.

Muszę go zobaczyć, mamo!—A więc już poraz trzeci jestem ciotką — ciotką dziewczynki i dwóch chłopców!

PANI BERGMAN.

I co za chłopcy!—Tak się to dzieje, jak się mieszka blizko kościelnej wieży! — Jutro zaledwie dwa lata, jak przestąpiła progi kościoła w swej białej muślinowej sukni.—

WENDLA.

Czyś ty była u Iny, kiedy bocian go przyniósł?

PANI BERGMAN.

Właśnie przed chwilą był odleciał. — Czy przypniesz do sukienki różę?

WENDLA.

Czemużeś mamo, wcześniej nie przyszła?

PANI BERGMAN.

Zdaje mi się jednakże, że on i tobie coś przyniósł—broszkę. czy coś podobnego.

WENDLA.

Doprawdy, szkoda!

PANI BERGMAN.

Przecież ci mówię, że ci przyniósł broszkę.

WENDLA.

Mam dość broszek...

PANI BERGMAN.

A więc bądź zadowoloną, moje dziecko. Czegóż chcesz jeszcze?

WENDLA.

Jestem ciekawa, czy wleciał oknem, czy kominem.

PANI BERGMAN.

O to musisz się spytać Iny. Tak, o to musisz Iny spytać, kochanie. Ina opowie ci dokładnie. Ina przecież przez pół godziny z nim rozmawiała.

WENDLA.

Zapytam Iny, gdy pójdę do niej.

PANI BERGMAN.

Tylko nie zapomnij, mój aniołku! Ja sama doprawdy jestem ciekawa, czy on wleciał przez okno, czy przez komin.

WENDLA.

A może lepiej spytać się kominiarza?— kominiarz powinien wiedzieć najlepiej, czy on przez komin wlatuje.

PANI BERGMAN.

Kominiarza nie pytaj dziecko, kominiarza nie pytaj. Cóż kominiarz wie o bocianie! — On ci nagada głupstw, w które sam nie wierzy... Cze... czego tak wypatrujesz na ulicy?

WENDLA.

Człowiek mamo—trzy razy tak wielki jak wół! — z nogami, jak statki parowe...

PANI BERGMAN.

(rzuca się do okna)

Niemożliwe! — Niemożliwe!

WENDLA.

(równocześnie)

Bok łóżka trzyma pod brodą, wygrywa na nim.... właśnie skręcił na rogu...

PANI BERGMAN.

Byłaś i jesteś dzieciakiem! Starą głupią matkę tak nastraszyłaś!—Idź, weź kapelusz. Doprawdy, nie wiem kiedy będziesz miała rozum. Ja już straciłam nadzieję.

WENDLA.

Ja także mateczko, ja także. Z moim rozumem smutna historja — Oto mam siostrę zamężną od dwóch i pół lat, i sama poraz trzeci zostaję ciotką, i nie mam pojęcia, jak się to wszystko dzieje... Nie gniewaj się mateczko, nie gniewaj się! Kogóż mam pytać jeżeli nie ciebie! Proszę cię, droga mateczko, powiedz mi! Powiedz mi, najdroższa mateczko. Ja się wstydzę samej siebie. Proszę cię matko mów! Nie łaj mnie, że cię o to pytam. Daj mi odpowiedź — jak się to dzieje? — jakim sposobem?- -Nie możesz przecież żądać na serjo, abym w czternastym roku życia jeszcze wierzyła w bociany.

PANI BERGMAN.

Ależ Boże wielki, dziecko, jakaś ty dziwna. — Co cię napadał - - Przecież ja doprawdy nie mogę!

WENDLA.

Czemu nie, matko! — Czemu nie! — Przecież to nie może być nic brzydkiego, jeżeli wszyscy się z tego cieszą.

PANI BERGMAN.

O — o — strzeż mnie Boże! — Zasłużyłabym.... Idź ubierz się dziewczyno, ubierz się.

WENDLA.

Idę... A jeśli twoje dziecko pójdzie i spyta się kominiarza?

PANI BERGMAN.

Ależ to można zwarjować! — Chodź dziecko, chodź, powiem ci! Powiem ci wszystko... O wszechmocny Boże! — tylko nie dziś Wendlo! — jutro, pojutrze, na przyszły tydzień .. kiedy zechcesz, kochanie.

WENDLA.

Powiedz mi dziś, matko, powiedz mi zaraz! Teraz, zaraz! Widząc cię tak wzburzoną, tembardziej nie mogę się teraz uspokoić!..

PANI BERGMAN.

Nie mogę Wendlo.

WENDLA.

O, dlaczego nie możesz mateczko! — Tu klękam u twoich nóg i kładę ci głowę na kolanach. Nakryjesz mi głowę fartuszkiem i będziesz opowiadać, jakbyś była samiutka jedna w pokoju. Ja nie drgnę: nie krzyknę, chcę cierpliwie wysłuchać wszystkiego.

PANI BERGMAN.

Bóg świadkiem, Wendlo, że to nie moja wina! Bóg zna moje serce! — Chodź w imię Boże! — Chcę ci powiedzieć dziewczyno, jakeś na ten świat przyszła. — A więc słuchaj Wendlo...

WENDLA

(pod jej fartuchem)

Słucham!

PANI BERGMAN.

(z ekstazą)

-- Ale to nie uchodzi dziecko! — Nie mogę brać na siebie takiej odpowiedzialności. Zasługuję, aby mnie wtrącono do więzienia — aby mi ciebie zabrano...

WENDLA.

(pod fartuchem)

Odważnie, matko!

PANI BERGMAN.

Więc słuchaj...

WENDLA.

(*pod jej fartuchem drząc*)

O Boże, Boże?

PANI BERGMAN.

Aby mieć dziecko — rozumiesz mnie Wendlo?...

WENDLA.

Prędzej matko—dłużej tego nie zniosę.

PANI BERGMAN.

Aby mieć dziecko—trzeba mężczyznę, z którym się jest poślubioną... kochać — kochać, mówię ci—jak tylko można, kochać mężczyznę! Trzeba go kochać z całego serca, tak — jak się nie da powiedzieć! Trzeba go kochać Wendlo tak, jak w twoim wieku kochać jeszcze nie możesz... Teraz wiesz już wszystko.

WENDLA.

(*podnosząc się*)

Wielki.... Boże....

PANI BERGMAN.

Teraz wiesz co cię czeka.

WENDLA

— I to wszystko.

PANI BERGMAN.

Tak mi Panie Boże dopomóż! — Weź teraz ten kosz i idź do Iny. Dostaniesz tam czekoladę z ciastkami. — Chodź, niech cię raz jeszcze obejrzę — sznurowane buciki, jedwabne rękawiczki, marynarska bluzka, róże we włosach, spódniczka jednak doprawdy za krótka Wendlo.

WENDLA.

Czyś już przyniosła mięso na obiad mateczko?

PANI BERGMAN.

Niech cię Bóg strzeże i błogosławi.

SCENA TRZECIA.

JAŚ RILOW.

(ze świecą w ręku, zamyka drzwi na klucz za sobą i podnosi wieko)

Czy odmówiłaś już pacierz, Desdemono?

(Wyjmuje reprodukcję Wenus Palma Vecchio ukrytą pod ubraniem)

Nie wyglądasz jak po zmówieniu pacierza, o piękna! Twoje smukłe członki, łagodna wypukłość bioder, twoje młodzieńcze jędrne piersi odurzająco działają na zmysły,

jak wówczas, kiedym cię dojrzał w oknie wystawy Jonatana Szlezyngera. O, jakże upojonym musiał być wielki mistrz, gdy miał swą modelkę czternastoletnią przed sobą na dywanie.

Czy zechcesz niekiedy odwiedzić mnie we śnie? Przyjmę cię z otwartymi ramionami i całować cię będę aż do utraty tchu. Wejdziesz do mnie, jak dziedziczna pani do swego opustoszonego zamku. Niewidzialna ręka otworzy ci bramę i drzwi, a na dole w parku wesoło wytryśnie fontanna...

Tak być musi! — Tak być musi!

Nie morduję z dzikiego popędu, świadczę się gwałtownem biciem serca w piersi. Na samą myśl o mych samotnych nocach, spazm mi ściska gardło. Na mą duszę klnę ci się, dziecko, że nie owładnął mną przesyt. Któżby się mógł pochwalić, że się tobą przesycił. Wysysasz mi szpik z kości, garbisz mi plecy, gasisz ostatnie blaski moich młodych oczu. Jesteś zbyt wymagającą przez twą nadludzką skromność, wyniszczającą przez nieruchomość twoich członków! — Ty albo ja! — Ja zwyciężyłem!

Gdybym chciał wyliczać te wszystkie zmarłe, z któremi podobną walkę stacza-

lem! Psyche Thumana — spadek po kościstej mademoiselle Angélique, tym wężu w rajskim ogrodzie moich lat dziecinnych! Jo Corregia; Galatea Lossow'a; potem Amor Bouguereau, Ada I. van Beers'a — ta Ada którą musiałem wykraść ze skrytki w biurku taty, aby ją włączyć do mego haremu, drżąca Leda Makarta, którą przypadkowo znalazłem w szkolnych kajetach mego brata — siedem, kwiecie na śmierć skazany, siedem miałaś poprzedniczek na drodze do Hadesu. Niechaj ci to będzie pociechą. Nie powiększaj mej męczarni tem błagalnem wejrzeniem. Umierasz za moje, nie za swoje winy! — W koniecznej samoobronie popełniam z krwawiącem sercem to siódme żonobójstwo. Jest coś tragicznego w losie Sinobrodego. Zdaje mi się, że jego mordowane żony nie cierpiały wszystkie razem tyle, ile on przy każdej zbrodni oddzielnie.

Ale moje sumienie się uspokoi, ciało moje się wzmocni, gdy już nie będziesz rezydować na czerwonem jedwabnem wysłaniu mojej szkatułki. Miast ciebie wprowadzę do tego przybytku rozkoszy Lurlei Bodenhausen'a albo Opuszczoną Lingera albo Loni Defregera — w ten sposób jeszcze

prędzej przyjdę do siebie. Jeszcze kwartał może, a twe odsłonione wdzięki zaczęłyby mój mózg wysuszać. Najwyższy był już czas do rozdziału od łoża i stołu.

Brr... czuję w sobie Heliogabala. Moritura me salutat! — Dziewczyno, dziewczyno, czemu ściskasz kolana. — Czemu i teraz jeszcze, wobec niezbadanej wieczności? — Jedno drgnienie, a zwrócę ci wolność.— Jeden ruch kobiecy, jeden znak sympatji, dziewczyno, a każę cię w złoto oprawić, każę cię nad łóżkiem mym powiesić. — Czy się nie domyślasz, że tylko twa czystość rodzi moje wybryki? -- Biada, biada nieludzkim!.. Zaraz widać, że otrzymała wzorowe wychowanie.—Zemną dzieje się przecież to samo.

Czyś odmówiła już pacierz Desdemono?

Serce mi się ściska... Glupstwo! —

I święta Agnieszka zmarła przez swą powściągliwość, a nie była ani nawpół tak nagą, jak ty!—Całuję twe kwitnące ciało,— twoją dziecinną pierś, — twoje okrągłe — okrutne kolana...

Tak być musi, tak być musi moje serce! Nie pytajcie mnie o nią, wstydliwe gwiazdy.

Tak być musiało! —

(*Obraz zapada w głąb, zamyka wieko*).

SCENA CZWARTA.

(Siennica.—Melchjor leży na świeżem sianie. Wendla wchodzi po drabinie.)

WENDLA.

Gdzie ty się chowasz? — Wszyscy cię szukają. Musisz pomódz. Nadciąga burza.

MELCHJOR.

Odejdź odemnie! — Odejdź odemnie!

WENDLA.

Co ci jest? — Czemu kryjesz twarz?

MELCHJOR.

Precz, precz!—Bo cię zrzucę na klepisko.

WENDLA.

Otóż właśnie nie pójdę. — *(klęka przy nim)* Chodź na dwór, na słomę, Melchjorze!—Tu tak duszno i ponuro. Przemokniemy do nitki, ale cóż to szkodzi!

MELCHJOR.

Siano pachnie rozkosznie. Niebo musi być czarne jak całun. Widzę tylko płonący mak przy twojej piersi — i słyszę bicie twego serca —

WENDLA.

— — Nie całuj, Melchjorze! — nie całuj!

MELCHJOR.

— Twego serca... słyszę bicie —

WENDLA.

— Całują się — — — ci, co kochają — — — Nie, nie! — —

MELCHJOR.

O wierzaj mi, miłość nie istnieje! — Jest tylko żądza użycia, tylko egoizm! — Ja cię tak samo nie kocham, jak i ty mnie! —

WENDLA.

— — Nie! — — — — — Nie, Melchjorze! — —

MELCHJOR.

— — — Wendlo!

WENDLA.

O Melchjorze! — — — — — nie — — — nie — — —

SCENA PIĄTA.

PANI GABOR.

(siedzi i pisze)

Kochany Panie Stiefel!

Całą dobę rozmyślałam nad wszystkiem, co mi pan napisał i z ciężkiem sercem biorę za pióro. Nie mogę panu dostarczyć pieniędzy, potrzebnych na wyjazd do Ameryki, daję panu najświętsze na to słowo. Po pierwsze nie rozporządzam tak wielką sumą, po drugie byłoby z mej strony najcięższym grzechem, gdybym panu ułatwiła wykonanie tak lekkomyślnego, a brzemiennego w skutki postanowienia. Niechże pan tylko nie będzie niesprawiedliwym i nie przypisuje tej odmowy obojętności dla pana.

Przeciwnie, jako pańska stara przyjaciółka, nie wypełniłabym należycie obowiązków mych względem pana, gdybym, dając się porwać chwilowej pańskiej rozpaczy, straciła równowagę i poszła za pierwszym mym popędem. Jeśli pan sobie życzy, napiszę do pańskich rodziców. Postaram się ich przekonać, że w ciągu tego kwartału robiłeś pan wszystko, co się zrobić dało. Że surowe potępienie pańskiego losu byłoby

nieusprawiedliwionem, a mogłoby też oddziałać ujemnie na stan pańskiego zdrowia fizycznego i duchowego.

Prawdę mówiąc, zdumiewa mnie pańska groźba samobójstwa, w razie gdybym panu nie ułatwiła ucieczki. Wszak nie jest pan winien temu co się stało, a więc nie trzeba wybierać nieczystych sposobów ratunku. Doznałeś pan odemnie tylko życzliwości, a jednak chcesz mnie uczynić odpowiedzialną za swój ewentualny występek. Gdybym nie była dla pana tak życzliwie usposobioną, mogłabym pana posądzić o chęć wywarcia na mnie presji.

Muszę przyznać, że takiego postępku po panu, zawsze taktownym, nigdybym się nie spodziewała. Z tem wszystkiem jestem najmocniej przekonaną, że byłeś pan jeszcze zanadto pod wrażeniem przestrachu, żeby sobie dokładnie zdać sprawę ze swego postępowania.

Mam nadzieję, że moje słowa zastaną pana zupełnie uspokojonym. Trzeba brać rzeczy, jakimi są. Uważam, że nie powinno się sądzić młodzieńca ze świadectw szkolnych. Mieliśmy zbyt wiele przykładów, że bardzo źli uczniowie wyrośli na wzorowych ludzi i naodwrót, że najlepsi uczniowie

nieszczególnie pokierowali się w życiu. Na wszelki wypadek zapewniam pana, że pańskie niepowodzenie, o ile to odemnie będzie zależało, nie wpłynie na zmianę pańskiego stosunku do Melchjora. Sprawi mi to wielką przyjemność, jeżeli syn mój utrzyma stosunek z młodzieńcem, który jakkolwiekby go świat osądził, moją całkowitą zdobył sympatję. A więc głowa do góry panie Stiefel! Każdego z nas nachodzą kryzysy, tej lub innej natury, trzeba je wszakże pokonywać. Gdyby tak każdy zaraz chwytał za sztylet lub truciznę, prędkoby ludzi na świecie nie stało. Napisz pan wkrótce co u pana słychać i przyjm serdeczne pozdrowienia od niezmiennie życzliwej

starej przyjaciółki
Fanny G.

SCENA SZÓSTA.

(*Ogród Bergmanów w porannem świetle słonecznem.*)

WENDLA.

Czemu wymknęłaś się z pokoju? — Pójdę poszukać fijołków! — Bo matka widzi, że się uśmiecham. Czemuż usta ci się nie zamykają? Nie wiem. Ja nie wiem, nie

znajduję słów... Droga, jak dywan pluszowy — ani kamyczka, ani ciernia... Stopy moje nie dotykają ziemi... Jakże tej nocy słodko śniłam! Tutaj stali. — Tak mi na duszy uroczyście, jak zakonnicy podczas komunji. Drogie fijołeczki! — Spokojnie, matuchno. Włożę już pokutną szatę. — Ach, Boże, żeby też kto nadszedł, komu bym mogła rzucić się na szyję i opowiedzieć wszystko!

SCENA SIÓDMA.

(*Zmrok wieczorny. Niebo lekko zachmurzone. Droga wije się przez nizkie zarośla i sitowie. W pewnem oddaleniu słychać szmer strumyka*).

MAURYCY.

Tak będzie lepiej. Ja się nie nadaję. Niech inni głowy sobie łamią.—Ja zamykam drzwi za sobą i wydostaję się na wolność. Dość mam tej ciągłej walki. Ja się przecież na świat nie pchałem, pocóż mam teraz pięściami sobie drogę torować.—Nie mam żadnego układu z Panem Bogiem. Niech sobie tłomaczą, jak im się podoba. Zmuszono mnie do tego. Rodziców nie czynię za to odpowiedzialnymi, choć w każdym razie musieli być przygotowani na najgorsze. Byli dość starzy, aby wiedzieć co robią.

Byłem niemowlęciem, kiedym na świat przyszedł — inaczej byłbym napewno tyle sprytnym, aby się innym urodzić. Widocznie upadłem na głowę... jak mi kto podaruje psa wściekłego, oddam mu go. A jeśli on nie zechce zabrać swego podarunku, to ja będę ludzkim i... Widocznie upadłem na głowę!

Rodzimy się przez prosty przypadek i nie mielibyśmy po najdojrzalszym namyśle — —

— Przynajmniej pogoda okazuje się względną. Cały dzień zbierało się na deszcz, a jednak rozeszło się. — Dziwny spokój panuje w naturze. Nigdzie nic jaskrawego, jątrzącego. Niebo i ziemia wyglądają jak przezroczysta pajęczyna. Wszystko jest tak rozkoszne. Krajobraz jest miły jak kołysanka — „śpij, mój królewiczu, uśnij," jak śpiewała panna Snandulja. Szkoda, że niezgrabnie trzyma łokcie! —Na świętą Cecylję tańczyłem poraz ostatni. Snandulja tańczy tylko z epuzerami. Jej suknia jedwabna była wycięta z przodu i z tyłu. Z tyłu aż do paska, a z przodu aż do utraty przytomności. — Chyba nie miała na sobie koszuli — — — — — — — — — — —
— toby mnie jeszcze mogło znęcić. —

Więcej z ciekawości. Musi to być dziwne uczucie—uczucie, jakby się było porwanym przez wir strumienia... Nie powiem nikomu, że wracam nieuświadomiony. —Będę udawać, że już wszystkiego doświadczyłem... To wstyd być człowiekiem i nie poznać tego, co najbardziej ludzkie. Szanowny pan powraca z Egiptu i nie widział piramid?

Nie chcę dziś płakać. Nie chcę dziś myśleć o moim pogrzebie. — Melchjor położy wianek na mojej trumnie. Pastor Kahlbauch będzie pocieszał moich rodziców. Rektor Zonenstich będzie cytował przykłady z historji.—Pomnika pewno mi nie postawią, a pragnąłbym mieć śnieżno-białą marmurową urnę na czarnym piedestale — dzięki Bogu nie będę za nim tęsknić. Pomniki są dla żyjących, a nie dla umarłych.

Cały rok żegnałem się w myśli ze wszystkimi. Nie chcę już płakać. Jestem rad, że bez goryczy mogę rzucić okiem w przeszłość. Ileż pięknych wieczorów spędziłem z Melchjorem! — Pod wierzbami nad rzeką, przy leśniczówce, przy drodze, gdzie stoi pięć lip, na zamkowej górze pomiędzy drzemiącemi ruinami runicznego grodu... Kiedy nadejdzie godzina, wszystkie myśli skupię na kremie śmietankowym.

O ludziach także miałem zanadto złe pojęcie. Ani jednego nie spotkałem, któryby nie miał dobrych chęci. Niejednemu mimowoli współczułem. Dążę do ołtarza jak etruski młodzieniec, którego ostatnie tchnienie okupuje szczęście braci na nadchodzący rok. Poznałem tajemniczy dreszcz oswobodzenia. Łkam z żalu nad moim losem... Życie pokazało mi twarz surową. Stamtąd wabi mnie poważne, ale przyjazne spojrzenie: królowa bez głowy, królowa bez głowy— współczucie, otwiera mi miękkie swe ramiona... Wasze przykazania są dobre dla małoletnich, ja noszę z sobą bilet wolnej jazdy. Gdy czara się nachyli, motyl uleci od niej; miraż już nie będzie mamił. — Nie trzeba było prowadzić gry szalonej i zwodniczej! Mgła się rozprasza; życie jest kwestją gustu.

ILZA.

(*W podartych sukniach, jaskrawa chustka na głowie, chwyta go z tyłu za ramiona*)

Coś ty zgubił?

MAURYCY.

Ilza!?

ILZA.

Czego ty szukasz?

MAURYCY.

Czegoś mnie tak przestraszyła?

ILZA.

Czego szukasz? — Coś ty zgubił?

MAURYCY.

Czego mnie tak okropnie przerażasz?

ILZA.

Przychodzę z miasta. — Idę do domu.

MAURYCY.

Ja sam nie wiem, co zgubiłem.

ILZA.

To ci nie pomoże szukanie.

MAURYCY.

Do djabła, do djabła!!

ILZA.

Od czterech dni nie byłam w domu.

MAURYCY.

— Stąpasz cicho, jak kot!

ILZA.

Bo mam na nogach balowe trzewiki. — Matka dopiero się zdziwi! — Odprowadź mnie do domu!

MAURYCY.

Gdzieżeś się znowu wałęsała?

ILZA.

U Nobla, u Ferendorfa, u Padinskiego, u Lenza, Ranka, Spilera — u wszystkich! kling, kling — ta będzie dopiero skakać!

MAURYCY.

Czy służysz im za model?

ILZA.

Ferendorf maluje mnie jako świętą. Stoję na koryncklej kolumnie. Ferendorf, powiadam ci, jest zawzięta bestja. Ostatnio zgniotłam mu tubę. On wyciera mi pendzle o włosy. Ja wycinam mu policzek. On mi rzuca w głowę paletę. Ja przewracam stalugi. On za mną z kijem przez dywan, stoły, krzesła, do koła pracowni. Za piecem leżał szkic.—Grzecznym być albo podrę.— Przysiągł, że mi wybacza i w końcu mnie potem jeszcze strasznie — strasznie wycałował.

MAURYCY.

Gdzież ty nocujesz, — jak zostajesz w mieście?

ILZA.

Wczoraj byliśmy u Nobla — onegdaj u Bojokiewicza, — u Padinskiego piliśmy

szampana. Valabregez sprzedał swego Zadżumionego. Adolar pił z popielniczki. Lenz śpiewał Dzieciobójczynię, a Adolar fałszował na gitarze. Ja się tak upiłam że musieli mnie zanieść do łóżka... Czy ciągle jeszcze chodzisz do szkoły Maurycy?

MAURYCY.

Nie, nie... w tym kwartale wypiszę się.

ILZA.

Masz rację. Ach, jakże czas prędko mija, gdy się zarabia pięniądze! — Czy pamiętasz jakeśmy grali Zbójców? Wendla Bergman i ty i ja i inni, wieczorami wychodziliśmy za miasto, wstępowaliście do nas na ciepłe kozie mleko? — Co porabia Wendla? widziałam ją jeszcze podczas powodzi.—Cóż porabia Melchi Gabor?—Czy zawsze taki zadumany? Podczas lekcji śpiewu staliśmy naprzeciw siebie.

MAURYCY.

On filozofuje.

ILZA.

Wendla była niedawno u nas i przyniosła matce konfitury, tego dnia byłam u Izydora Landauer'a. Pozuję mu do Matki

Boskiej z Dzieciątkiem Jezus. To wstrętny głupiec. Hu, jak dudek na kościele.

— Czyś ty hulał?

MAURYCY.

Wczoraj wieczorem! — Piliśmy jak smoki. O piątej wróciłem do domu.

ILZA.

Dość na ciebie spojrzeć. — Czy i dziewczyny były?

MAURYCY.

Arabella, rusałka od piwa, andaluzjanka, gospodarz zostawił nas na całą noc z nią samych.

ILZA.

Dość na ciebie spojrzeć Maurycy! — Po mnie nigdy nie znać shulania. Zeszłego karnawału trzy dni i trzy noce nie rozbierałam się i nie kładłam do łóżka. Z reduty do kawiarni, wieczorem tingel, nocą znów na redutę. Lena była zemną i gruba Viola. — Na trzecią noc znalazł mnie Henryk.

MAURYCY.

Czyż on cię szukał?

ILZA.

Potknął się o moje ramię. Leżałam bez zmysłów na ulicy, w śniegu. — Potem poszłam do niego. — Czternaście dni nie

opuszczałam jego domu — straszny był to czas! — Rano musiałam zarzucać na siebie jego perski szlafrok, a wieczorem w czarnem ubraniu pazia z białemi koronkami chodzić po pokoju. Codziennie fotografował mnie w innej pozie — raz na poręczy sofy, jako Ariadnę, raz jako Ledę, raz jako Ganimeda, raz na czworakach. Przytem marzył o morderstwach, strzelaninie, samobójstwie i węglowym kwasie. Raniutko brał rewolwer, nabijał ostrymi ładunkami i przykładał go do mojej piersi, „jedno drgnienie, a pociągnę za cyngiel.“ — O, on by pociągnął, Maurycy, on by pociągnął! — Potem brał rewolwer do ust, jak rurkę do dmuchania. To ma u niego pobudzać instynkt samozachowawczy. A potem — brr — kula przeszłaby mi przez kość pacierzową.

MAURYCY.

Czy Henryk żyje jeszcze?

ILZA.

Albo ja wiem? — Nad łóżkiem było lustro wpuszczone w sufit. Gabinet wydawał się niezmiernie wysokim i jasnym jak sala Opery. Zdawało mi się, że żywcem spadam z nieba. Straszne sny miewałam po nocach. — Boże, o Boże, aby dnia doczekać. —

Dobranoc, Ilzo. Jesteś piękną jak śpisz, zabójczo piękną!

MAURYCY.

Czy ten Henryk żyje jeszcze?

ILZA.

Dalibóg nie wiem! — Kiedy jednego dnia poszedł po absynt, zarzuciłam płaszcz i wykradłam się na ulicę. Karnawał skończył się; policja mnie chwyta: „co robię w męskich sukniach?“ — Prowadzą mnie na odwach. Tam przyszli Nobl, Ferendorf, Padinski, Spiler, Oikonomopulus, cała paczka i zaręczyli za mnie. W dorożce przewieźli mnie do pracowni Adolara. Odtąd jestem tej bandzie wierną. Ferendorf jest małpa, Nobl jest świnia, Bojokiewicz puchacz, Loison hyjena, Oikonomopulus wielbłąd — pomimo to, kocham ich wszystkich razem i każdego zosobna, z nikim nie chcę się złączyć, choćby świat cały składał się z archaniołów i miljonerów.

MAURYCY.

Muszę wracać, Ilzo.

ILZA.

Odprowadź mnie do domu.

MAURYCY.

Po co? — po co? —

ILZA.

Na ciepłe kozie mleko! — Utrefię ci loki i zawieszę ci dzwoneczek na szyi. — Mamy także źrebaczka z którym się możesz pobawić.

MAURYCY.

Muszę już wracać. Jeszcze mam Sassanidów, historję świętą i parallelepiped na sumieniu. Dobranoc ci Ilzo!

ILZA.

Śpij spokojnie!... Czy chodzicie jeszcze do wigwamu, gdzie Melchi Gabor zakopał mój tomahawek?... Brr, zanim na was kolej przyjdzie, ja leżeć będę na śmietniku. (*Odchodzi szybko*)

MAURYCY (*sam*)

— — — — — Żebym był słowo wymówił. (*Woła*) — Ilzo! — Ilzo! — — Bogu dzięki, już nie słyszy.

— Nie jestem usposobiony. Do tego trzeba swobodnej głowy i lekkiego serca. Szkoda, szkoda okazji!

.....powiem, że miałem wspaniałe kryształowe lustra nad mojem łóżkiem, że tresowałem nieokiełznaną dziką źrebicę, że jej kazałem w czarnych jedwabnych pończochach i czarnych lakierowanych

bucikach i czarnych długich rękawiczkach, w czarnym aksamicie u szyi, dumnym krokiem chodzić po moim dywanie — że ją w napadzie szału w moich poduszkach zamordowałem... będę się uśmiechał gdy zacznę mówić o rozkoszy... będę — — —

Krzyczeć! Krzyczeć! — Ilzo! — Nieprzytomność! — To mi odbiera siły! — To dziecko szczęścia — to dziecko słońca — ta rozpustnica na drodze mojej nędzy! — — O! — O!

— — — — — — — — — —

— — — — — — — — — —

(*W zaroślach nadbrzeżnych*)

Mimowoli znalazłem tę darniową ławkę. Dziewanny zdaje się od wczoraj jeszcze urosły. Widok pomiędzy wierzbami jest ciągle ten sam. — Rzeka płynie zwolna jak roztopiony ołów. Żebym nie zapomniał... (*wyjmuje list pani Gabor z kieszeni i pali go*) — Jak te iskry błądzą tam i z powrotem, wzdłuż i wszerz. — Dusze! — Gwiazdy spadające! —

Zanim zapaliłem widać było jeszcze trawę i pas na horyzoncie. Teraz się ściemniło zupełnie. Teraz, nie pójdę już do domu.

Akt III.

SCENA PIERWSZA.

(Sala sesjonalna. Na ścianach portrety Pestalozzi'ego i J. J. Rousseau'a. Dokoła zielonego stołu, nad którym pali się kilka gazowych płomieni, siedzą profesorowie: Affenszmalc, Knypeldyk, Hungergurt, Knochenbruch, Zungenszlag i Fliegentod. Na pierwszem miejscu, na podwyższeniu, siedzi rektor Zonenstich. Pedel Habebald na małym stoliku przy drzwiach).

ZONENSTICH.

Czy który z panów miałby jeszcze coś do nadmienienia? — — Panowie, jesteśmy zmuszeni wnieść do ministerjum oświaty prośbę o relegowanie naszego występnego ucznia a to z następujących najpoważniej-

szych powodów. Po pierwsze, jesteśmy zmuszeni zrobić to, jako ofiarę za nieszczęście, które się niedawno przytrafiło. Po drugie, aby zakład nasz na przyszłość od podobnych wypadków uchronić. Po trzecie, trzeba ukarać naszego występnego ucznia za wpływ demoralizujący, jaki na swych kolegów wywiera i wpływ ten raz na zawsze usunąć. Wreszcie z powodu najważniejszego, że musimy nasz zakład zabezpieczyć przed epidemją samobójstw, która obecnie wybuchnęła w kilku gimnazjach i do dziś opiera się wszelkim usiłowaniom, aby jej kres położyć.

KNYPELDYK.

Nie mogę się powstrzymać od wyrażenia przekonania, że najwyższy już czas otworzyć okno.

ZUNGENSZLAG.

Pa... panuje tu a... a... tmosfera jak w podziemnych kata... katakumbach, jak w salach a... aktowych świętej pamięci Weclarskiej i... i... i..zby są... są... są... sądowej.

ZONENSTICH.

Habebald!

HABEBALD.

Słucham pana rektora.

ZONENSTICH.

Otworzyć okno! Mamy Bogu dzięki dość powietrza na dworze. — Czy który z panów ma jeszcze co do nadmienienia?

FLIEGENTOD.

Jeśli szanowni koledzy chcą otworzyć okno, nie mogę mieć nic przeciwko temu, ale chciałbym prosić, aby je otworzono nie wprost za memi plecami.

ZONENSTICH.

Habebald!

HABEBALD.

Słucham pana rektora.

ZONENSTICH.

Otworzyć drugie okno! — — Czy który z panów ma jeszcze co do nadmienienia?

HUNGERGURT.

Nie mając zamiaru stawać tu w sprzeczności, chciałbym przypomnieć fakt, że drugie okno od jesieni jest już zamurowane.

ZONENSTICH.

Habebald!

HABEBALD.

Słucham pana rektora.

ZONENSTICH.

Zostaw to drugie okno. — Panowie, widzę się zmuszonym poddać wniosek pod głosowanie. Wzywam panów, będących za otwarciem okna, aby ze swych miejsc powstali. (*Liczy*) — Raz, dwa, trzy. — Raz, dwa, trzy. — Habebald!

HABEBALD.

Słucham pana rektora.

ZONENSTICH.

Zostaw i to okno zamkniętem! — Ja z mej strony uważam, że powietrze nie pozostawia tu nic do życzenia! — — Czy który z panów miałby jeszcze co do nadmienienia. — — Panowie! — W razie, gdybyśmy wniosku o relegację naszego występnego ucznia do ministerjum nie wnieśli, ministerjum oświaty uczyni nas odpowiedzialnymi za nieszczęście, które się wydarzyło. Gimnazja, nawiedzone przez epidemję samobójczą, o ile liczba ofiar dosięgła 25 procent, zostały przez ministerjum oświaty

zasuspendowane. Obowiązkiem naszym, jako stróżów i opiekunów naszego zakładu jest uchronić go od takiego ciosu. Głęboko jesteśmy zasmuceni, panowie, że zalet bezspornych naszego ucznia nie możemy uważać za okoliczność łagodzącą. Pobłażliwe postępowanie, któreby się dało usprawiedliwić względem naszego występnego ucznia, nie dałoby się usprawiedliwić względem naszego zakładu, którego byt w fatalny sposób zostałby zagrożonym. Jesteśmy zmuszeni osądzić winowajcę, aby nas niewinnie nie osądzono. — Habebald!

HABEBALD.

Słucham pana rektora.

ZONENSTICH.

Wprowadzić go!

(*Habebald odchodzi*).

ZUNGENSZLAG.

Wobec tego, że po... po... po...wietrze w sferach miarodajnych uważane jest za nie pozostawiające nic do życzenia, stawiam wniosek, aby podczas le... letnich wakacji jeszcze i drugie okno zamu... mu... mu... mu... mu... mu... rować.

FLIEGENTOD.

Jeżeli naszemu kochanemu koledze Zungenszlagowi lokal nasz wydaje się zamało wentylowanym, wnoszę projekt, aby naszemu kochanemu koledze Zungenszlagowi umieścić w głowie wentylator.

ZUNGENSZLAG.

Te... te... go już za wiele. Gru... grubijaństw nie będę znosił. — Jestem jeszcze przy zdro... zdro... zdrowych zmysłach!..

ZONENSTICH.

Zmuszony jestem prosić kolegów Fliegentoda i Zungenszlaga o spokój. Nasz występny uczeń, zdaje się, jest właśnie na schodach.

(*Habebald otwiera drzwi, poczem Melchjor blady, ale spokojny staje przed zgromadzeniem.*)

ZONENSITCH.

Proszę bliżej, do stołu. Rentjer Stiefel dowiedziawszy się o bezbożnym występku syna swego Maurycego, przeszukiwał rzeczy pozostałe po nim, w nadziei, że odkryje przyczynę haniebnego samobójstwa. Prze-

czucia go nie omyliły, znalazł bowiem rękopis, który jakkolwiek nie wyjaśnia powodu ohydnego przestępstwa, daje nam jednak dokładny obraz moralnego rozkładu nieboszczyka. Mówię tu o traktacie na 20 stronicach z rysunkami wielkości naturalnej, zatytułowanym: „Spółkowanie“. Traktat ten, przepełniony najbezwstydniejszem plugastwem, mógłby stanowić odpowiednio sprośną lekturę dla najbardziej wszetecznego rozpustnika.

MELCHJOR.

Ja...

ZONENSTICH.

Pan masz być cicho! — Po doręczeniu nam owego rękopisu przez rentjera Stiefla, obiecaliśmy zrozpaczonemu ojcu za wszelką cenę odnaleźć autora. W tym celu porównywaliśmy ów rękopis z pismem kolegów samobójcy i znaleźliśmy, według jednobrzmiącego orzeczenia ciała nauczycielskiego i specjalnej ekspertyzy naszego szanownego kolegi kaligrafa, wiele znaczące podobieństwo do pańskiego pisma.

MELCHJOR.

Ja....

ZONENSTICH.

Pan masz być cicho. Pomimo przygnębiającego faktu stwierdzenia podobieństwa przez niezachwiane w swej powadze autorytety, uważamy tymczasowo za stosowne powstrzymać się od dalszych kroków, aby przedewszystkiem wysłuchać winnego w sprawie ciążącego na nim przestępstwa przeciw moralności w związku z wyniklem z tego samobójstwem.

MELCHJOR.

Ja...

ZONENSTICH.

Pan masz na dokładnie sformułowane pytania w porządku przezemnie wskazanym, odpowiadać prostem i skromnem „tak“ lub „nie“. — Habebald!

HABEBALD.

Słucham pana rektora!

ZONENSTICH.

Akta! — — Wzywam trzymającego pióro kolegę Fliegentoda do możliwie wiernego protokułowania. (*do Melchjora*) Czy znasz pan ten rękopis?

MELCHJOR.

Tak.

ZONENSTICH.

Czy znasz pan treść tego rękopisu?

MELCHJOR.

Tak.

ZONENSTICH.

Czy to pański rękopis?

MELCHJOR.

Tak.

ZONENSTICH.

Czy ten plugawy rękopis został przez pana zredagowanym?

MELCHJOR.

Tak. — Proszę mi wskazać, panie rektorze, co w nim jest plugawego?

ZONENSTICH.

Masz pan na dokładnie sformułowane przezemnie pytania odpowiadać prostem i skromnem „tak“ lub „nie“.

MELCHJOR.

Nie opisywałem ani mniej, ani więcej, jak tylko dobrze panu znane, rzeczywiste fakty.

ZONENSTICH.

Bezwstydnik!!

MELCHJOR.

Wzywam pana, abyś mi pan wskazał w tym rękopisie wykroczenie przeciw moralności.

ZONENSTICH.

Czy pan sobie wyobraża, że będę tu przed panem grał rolę błazna? Habebald!..

MELCHJOR.

Ja...

ZONENSTICH.

Pan masz tak mało szacunku dla godności zebranego ciała nauczycielskiego jak i dla wrodzonej człowiekowi wstydliwości i poczucia moralnego porządku świata.

HABEBALD.

Słucham pana rektora!

MELCHJOR.

Ja...

ZONENSTICH.

Wzywam kolegę Fliegentoda do zamknięcia protokułu.

MELCHJOR.

Ja..

ZONENSTICH.

Pan masz się spokojnie zachowywać! Habebald!

HABEBALD.

Słucham pana rektora.

ZONENSTICH.

Wyprowadzić go!

SCENA DRUGA.

(Cmentarz w deszcz ulewny. Nad grobem stoi pastor Kahlbauch z rozpiętym parasolem w ręku. Na prawo rentjer Stiefel, przyjaciel tegoż Ziegenmelker i wuj Probst. Z lewej rektor Zonenstich z profesorem Knochenbruchem. Uczniowie zamykają koło. W oddaleniu przed nawpół zapadłym pomnikiem Marta i Ilza).

PASTOR KAHLBAUCH.

...Albowiem kto odpycha łaskę, którą ojciec przedwieczny zrodzonym w grzechu ofiarował, umiera śmiercią duchową!

Ale kto dobrowolnie wyparłszy się Boga, złemu służył — umrze śmiercią cielesną. — Kto zaś krzyż, przez Pana jako pokutę za grzechy nałożony, bluźnierczo od siebie odrzucił, zaprawdę, powiadam wam, ten umrze śmiercią wieczną.

(Rzuca ziemię na trumnę)

My zaś, którzy nadal odbywamy wędrówkę po tej drodze ciernistej, chwalmy Pana Przedwiecznego i łaskawego i dziękujmy mu za jego niezgłębioną łaskę. Gdyż zaiste jako ten umarł potrójną śmiercią, tak sprawiedliwego Pan zachowa dla wiecznego życia. Amen.

RENTJER STIEFEL.

(głosem przerywanym od łkań, rzuca łopatę ziemi w grób)

To nie był mój chłopak. To nie był mój chłopak. Ten chłopak nie podobał mi się od małego.

REKTOR ZONENSTICH.

(rzuca garść ziemi)

Samobójstwo, największe wykroczenie przeciw moralnemu porządkowi świata, jest największym dowodem moralnego porządku świata, gdyż samobójca oszczędza światu wydanie wyroku i zatwierdza przepisy jego.

PROFESOR KNOCHENBRUCH.

(rzuca garść ziemi na trumnę)

Zhulany — zbłocony — zwszeteczniały i złajdaczony!

WUJ PROBST.

(*rzuca garść ziemi*)

Mojej własnej matce nie uwierzyłbym, że dziecko może tak nikczemnie postąpić z rodzicami.

PRZYJACIEL ZIGENMELKER.

(*rzuca garść ziemi*)

Tak postąpić z ojcem, który od lat dwudziestu o niczem nie myśli, jak tylko o szczęściu swego dziecka.

PASTOR KAHLBAUCH.

(*ściskając rentjera Stiefla za rękę*)

Wiemy, że tym, którzy kochają Boga, wszystko idzie na dobre 1. Korynt. 12—15. Pomyśl pan o nieutulonej w żalu matce i postaraj się wynagrodzić jej stratę podwójną miłością.

REKTOR ZONENSTICH.

(*ściskając rękę rentjera Stiefla*)

Prawdopodobnie i tak by nie dostał promocji.

PROFESOR KNOCHENBRUCH.

(*ściska rękę rentjera Stiefla*)

A gdyby nawet dostał promocję, na przyszły rok byłby napewno przepadł.

WUJ PROBST.

(ściska rękę rentjera Stiefla)

Teraz masz przedewszystkiem obowiązek myśleć o sobie. Jesteś ojcem rodziny...

PRZYJACIEL ZIGENMELKER.

(ściska rękę rentjera Stiefla)

Wierzaj mi!—Psie powietrze, przejmuje dreszczem! — Trzeba się napić koniecznie gorącego grogu.

RENTJER STIEFEL.

(wycierając nos)

To nie mój chłopak... to nie mój chłopak.

(Rentjer Stiefel, prowadzony przez pastora, rektora, profesora, wuja P. i przyjaciela odch. Deszcz ustaje.)

JAŚ RILOW.

(rzuca garść ziemi)

Wieczny Ci spokój uczciwa duszo!— Pozdrów odemnie moje świętej pamięci narzeczone i poleć mnie najpokorniej łasce boskiej — ty biedny warjacie! — Jeszcze ci z powodu twej anielskiej naiwności posadzą stracha na grobie.

JERZY.

Czy znaleziono rewolwer?

ROBERT.

Nie ma co go szukać!

ERNEST.

Czyś ty go widział Robercie?

ROBERT.

Przeklęty szwindel! Któż go widział? — Kto?

OTTON.

Otóż to właśnie. Nakryli go chustką.

JERZY.

Czy język był wywieszony?

ROBERT.

Oczy wyszły na wierzch! — Dlatego nakryto go chustką.

OTTON.

Straszne!

JAŚ RILOW.

Czy wiesz napewno, że on się powiesił?

ERNEST.

Mówię, że on już niema wcale głowy.

OTTON.

Głupstwo! — Gadanie!

ROBERT.

Przecież ja miałem sznur w ręku! — Nie widziałem jeszcze nigdy powieszonego, któregoby nie nakryto.

JERZY.

Już gorzej skończyć nie mógł.

JAŚ RILOW.

Tam do djabła, powieszenie ma być bardzo przyjemne!

OTTON.

Właściwie, winien mi jeszcze 5 marek. Założyliśmy się. Przysiągł, że się nie zełnie.

JAŚ RILOW.

Ty jesteś winien, że go niema. Tyś go nazwał pyszałkiem!

OTTON.

Tra la la, ja też muszę dukać po nocach. Żeby się nauczył greckiej literatury, nie potrzebowałby się wieszać!

ERNEST.

Czyś napisał ćwiczenie, Ottonie?

OTTON.

Dopiero mam wstęp.

ERNEST.

Nie wiem doprawdy co pisać.

JERZY.

Czy nie byłeś, jak Affenszmalc dyktował nam plan?..

JAŚ RILOW.

Zesztukuję sobie coś z Demokryta.

ERNEST.

Zobaczę, może znajdę co w encyklopedji.

OTTON.

Czy masz już na jutro Wirgiljusza?—

(*Uczniowie odchodzą. — Marta i Ilza podchodzą do grobu*).

ILZA.

Prędzej, prędzej!—Nadchodzą grabarze.

MARTA.

Może lepiej zaczekać, Ilzo?

ILZA.

Po co! — Przyniesiem świeże. Wciąż świeże i świeże! — Dość ich rośnie.

MARTA.

Masz słusznośc Ilzo.

(*Rzuca w grób wianek bluszczu. Ilza otwiera fartuch i rzuca deszcz anemonów na trumnę.*)

MARTA.

Wykopię nasze róże. Baty i tak dostanę! — Tu będą rosły.

ILZA.

Będę je podlewać ile razy przejdę. Przyniosę niezapominajek z nad strumyka i lilje przyniosę z domu.

MARTA.

Ach to będzie wspaniale, wspaniale!

ILZA.

Już byłam za mostem, gdy usłyszałam strzał.

MARTA.

Biedaczek!

ILZA.

I ja znam powód Marto!

MARTA.

Czy on ci powiedział?

ILZA.

Parallelepiped!—Ale nie mów nikomu.

MARTA.

Oto moja ręka.

ILZA.

Oto tu jest rewolwer.

MARTA.

Dlatego go nie znaleźli!

ILZA.

Wyjęłam mu z ręki, gdym przechodziła rano.

MARTA.

Daruj mi go Ilzo! — Proszę cię daruj mi go!

ILZA.

Nie, ja go schowam na pamiątkę.

MARTA.

Czy to prawda Ilzo, że go pochowali bez głowy?

ILZA.

Musiał nabić rewolwer wodą! — Dziewanny były krwią zbryzgane. Mózg rozprysnął się po gałęziach wierzb.

SCENA TRZECIA.

(*Pani i Pan Gabor*).

PANI GABOR.

...Potrzeba im było kozła ofiarnego. Musieli zrzucić z siebie coraz głośniejsze zarzuty. A dziecko moje miało nieszczęście, że im się we właściwej chwili nasunęło

przed oczy, i teraz mam ja, własna matka pomódz jego katom w dokończeniu dzieła?— Niech mnie Bóg uchowa!

PAN GABOR.

— Przez czternaście lat w milczeniu przyglądałem się twej mądrej metodzie wychowania. Sprzeciwiała się moim poglądom. Zawsze żyłem w tem przekonaniu, że dziecko nie jest zabawką, że dziecko ma prawo, abyśmy je traktowali najpoważniej. Ale powiedziałem sobie, jeżeli rozum i wdzięk matki mogą zastąpić poważne zasady ojca, to można im przed poważnemi zasadami dać pierwszeństwo.— — Nie robię ci wyrzutów Fanny. Ale nie przeszkadzaj mi, gdy chcę nasz wspólny błąd naprawić.

PANI GABOR.

Będę ci przeszkadzać póki ostatnia kropla krwi gorącej w żyłach moich krążyć będzie. W zakładzie poprawczym zginie moje dziecko. Bardzo być może, że w takim zakładzie przestępca się poprawia. Tego nie wiem. Dobry zaś człowiek musi się w nim stać przestępcą, jak musi zginąć roślina, której odbierzesz słońce i powietrze. Ja sobie nic nie wyrzucam. Do dziś dnia dziękuję

Bogu, że mi wskazał właściwą drogę do wyrobienia w mem dziecku prawego charakteru i szlachetnego sposobu myślenia. Cóż on zrobił tak strasznego? Nie dlatego, abym go miała uniewinniać — ale nie jest on winien, że go wygnali ze szkoły! A choćby to było jego winą, odpokutował już za to. Może ty lepiej wiesz odemnie. Może teoretycznie masz za sobą słuszność. Ale ja nie mogę pozwolić, aby mi zabili jedyne dziecko.

PAN GABOR.

To nie od nas zależy, Fanny. — Zaryzykowaliśmy nasze szczęście. Kto osłabnie — pozostaje w tyle. Wreszcie nie jest to najgorszem jeszcze, jeżeli nieuchronna konieczność nadchodzi dość wcześnie. Niech nas Bóg uchroni. Naszym obowiązkiem jest błąd naprawić dopóki jeszcze można.—Że go wydalili ze szkoły, to nie jego wina. Gdyby go ze szkoły nie wydalili, także nie byłoby jego winą. Jesteś za dobroduszną. Widzisz igraszkę tam, gdzie chodzi o zasadnicze spaczenie charakteru. Wy, kobiety, nie jesteście zdolne o tem sądzić. Kto może to napisać, co Melchjor pisze, ten musi być zepsutym do gruntu, do rdzenia pacierzowego. Natura choćby nawpół zdrowa, nie zniży się do

czegoś podobnego. Nikt z nas nie jest świętym, każdy z nas zbacza z prostej drogi. Jego rękopis przeszedł wszelkie granice. Jego rękopis nie dowodzi przypadkowego zbłądzenia, świadczy on o naturalnej skłonności, jest jasno wypowiedzianą myślą jego, ciążeniem do niemoralności przez upodobanie. Jego rękopis jest dowodem tej wyjątkowej duchowej korupcji, którą my prawnicy oznaczamy wyrażeniem: „obłęd moralny“. Czy się da coś w tym stanie zmienić nie śmiem przesądzać. Jeżeli chcemy zachować iskrę nadziei, a przedewszystkiem, jako rodzice, czyste sumienie, czas wielki, abyśmy się stanowczo i poważnie zabrali do dzieła. — Nie sprzeczajmy się dłużej Fanny. Czuję, jak ci jest ciężko. Ja wiem, że go ubóstwiasz, bo on odpowiada twojej genjalnej naturze. Przemóż się raz przecie względem syna.

PANI GABOR.

Boże! dodaj mi sił w tej walce! — Trzeba być mężczyzną, aby tak mówić! Trzeba być mężczyzną, aby się tak dać oślepić martwej literze! Trzeba być mężczyzną, aby tak oślepnąć i nie widzieć tego, co się samo w oczy rzuca! —

Sumiennie i z namysłem postępowałam z Melchjorem od pierwszego dnia, bo widziałam jego nadzwyczajną wrażliwość. Czy możemy odpowiadać za przypadek!? Jutro może ci dachówka spaść na głowę, a potem przyjdzie twój przyjaciel — twój ojciec i miast leczyć twoje rany, przydepcze cię nogą! — Nie dam mego dziecka w oczach mych zamordować. Na to jestem matką. — To niepojęte! To nie do wiary! Cóż on takiego napisal u Boga? Czyż to nie olśniewający dowód jego niewinności, jego głupoty, jego dziecinnej czystości, że może coś podobnego pisać! Trzeba nie mieć pojęcia o ludziach — trzeba być zupełnie bezdusznym biurokratą, albo uosobieniem głupoty, aby dopatrywać się w tem moralnej korupcji! — Mów co chcesz. Jeżeli oddasz Melchjora do zakładu poprawczego, rozejdziemy się! A potem zobaczymy czy nie znajdę w świecie pomocy i sposobów, aby dziecko moje od zguby uratować.

PAN GABOR.

Będziesz musiała się na to zdecydować — jeśli nie dziś to jutro. Będę u twego boku, a gdy stracisz odwagę, nie cofnę się przed żadną ofiarą, aby ulżyć twemu sercu.

Widzę przyszłość szarą, pełną chmur — jeszcze tego brakowałoby, abym i ciebie stracił.

PANI GABOR.

Ja go już więcej nie ujrzę, już go więcej nie ujrzę. On nie znosi pospolitości. On nie zniesie brudu. On złamie przymus, straszny przykład ma przed oczami!

A jeśli go ujrzę — Boże, Boże — to wiośniane, radosne serce — jego śmiech wesoły, wszystko, wszystko, — jego dziecinne zdecydowanie do walki za piękno i dobro — o, ta zorza poranna jasna i czysta, którą pielęgnowałam w jego duszy jak moje najwyższe dobro... Mnie ukarz jeśli złe wymaga pokuty. Mnie ukarz. Moją jest wina. Ale zdejm twą straszliwą rękę z dziecka.

PAN GABOR.

On popełnił występek.

PANI GABOR.

On nie popełnił występku.

PAN GABOR.

On popełnił występek. — — Dałbym wszystko za to aby ci tego oszczędzić. — Dziś zrana przyszła do mnie kobieta, z tym

listem w ręku — listem do jej piętnastoletniej córki. Z głupiej ciekawości otworzyła go; dziewczynki nie było w domu.— W tym liście pisze Melchjor do piętnastoletniego dziecka, że mu jego postępek nie daje spokoju, że zgrzeszył wobec niej etc. etc., bierze naturalnie skutki na siebie. Ona nie powinna się martwić, choćby poczuła następstwa. On właśnie myśli o pomocy dla niej, wydalenie ze szkoły ułatwi mu to. Pierwotny błąd, może jeszcze doprowadzić ich do szczęścia—i temu podobne głupie gadanie.

PANI GABOR.

To niemożliwe!

PAN GABOR.

List jest sfałszowany. To oszustwo. Chcą udowodnić, że znana w całem mieście jego relegacja była potrzebną. Jeszcze z chłopcem nie mówiłem — ale spójrz na to pismo, na ten sposób pisania.

PANI GABOR.

Niesłychany, bezwstydny kawał.

PAN GABOR.

Tego się obawiam.

PANI GABOR.

Nie, nie — nigdy.

PAN GABOR.

Tem lepiej dla nas. — Kobieta pytała mnie łamiąc ręce, co ma czynić. Powiedziałem jej żeby nie pozwalała swej piętnastoletniej córce łazić po górkach z sianem. List zostawiła mi na szczęście. — Jeżeli poszlemy Melchjora do innego gimnazjum, gdzie nie będzie miał nawet i rodzicielskiego nadzoru, to będziemy mieli w trzy tygodnie to samo — nową relegację — jego wiośniane serce łatwo się do tego przyzwyczai. — Powiedz mi Fanny, gdzie mam umieścić tego chłopca.

PANI GABOR.

— W zakładzie poprawczym.

PAN GABOR.

W zakładzie...?

PANI GABOR.

...poprawczym.

PAN GABOR.

Znajdzie tam przedewszystkiem czego mu niesłusznie w domu oszczędzano, żelazną dyscyplinę, zasady i przymus mo-

ralny, któremu będzie musiał podlegać bezwarunkowo. — Zresztą zakład poprawczy nie jest strasznem miejscem, jak to sobie wyobrażasz. Główną wagę kładą w tym zakładzie na rozwój chrześcijańskiego sposobu myślenia i odczuwania. Tam się chłopiec nauczy wreszcie dobre przekładać nad interesujące, a w postępowaniu liczyć się nie z wrodzonym popędem ale z prawem. — — Przed pół godziną otrzymałem od brata mego depeszę, potwierdzającą słowa tej kobiety. Melchjor zwierzył mu się i prosił go o 200 marek któreby mu ułatwiły ucieczkę do Anglji.

PANI GABOR.

(nakrywa twarz)

Miłosierny Boże!

SCENA CZWARTA.

(Zakład poprawczy. — Korytarz. — Dithelm, Reinbold, Ruprecht, Helmut, Gaston i Melchjor.)

DITHELM.

Oto dwadzieścia fenigów!

REINBOLD.

Cóż to będzie z tego?

DITHELM.

Położę pieniądz na podłodze. Wy staniecie dokoła. Kto weń trafi — wygra go.

RUPRECHT.

Nie grasz z nami Melchjorze?

MELCHJOR.

Nie, dziękuję.

GASTON.

On już nie może. On jest tu dla odpoczynku.

MELCHJOR.

(do siebie)

To nierozsądnie z mojej strony, że się trzymam zdala. Wszyscy mnie mają na oczach. — Muszę trzymać z nimi — albo wszystko djabła warte. — Więzienie robi z nich samobójców. Skręcę kark—dobrze! Jeśli ujdę, także dobrze! Mogę tylko wygrać. — Ruprecht będzie moim przyjacielem, on mi może udzielić wskazówek — On ma najnieszczęśliwszą fizjognomję w całym zakładzie.

RUPRECHT.

Wygrałem!

HELMUT.

Jeszcze moja kolej!

GASTON.

Może pojutrze!

HELMUT.

Zaraz! — Teraz! O Boże, Boże.

WSZYSCY.

Summa—summa cum laude.

RUPRECHT.

(biorąc pieniądz)

Ślicznie dziękuję!

HELMUT.

Dawaj, psie!

RUPRECHT.

Ty świnio!!

HELMUT.

Ty obwiesiu!

RUPRECHT.

(policzkuje go)

Oto masz! *(ucieka)*.

HELMUT.

(goniąc go)

Ja go zabiję!

INNI.

(biegnąc z nim)

Huzia, weź go! Huzia! Huzia! Huzia.

MELCHJOR.

(*sam, zwrócony do okna*)

— Tędy przechodzi piorunochron. — Trzeba owinąć go chustką. — Gdy o niej wspomnę, krew mi uderza do głowy, a myśl o Maurycym ciąży mi na sercu ołowiem. — Pójdę do redakcji. Płaćcie mi od setki, będę kolportował, — szkicował nowiny, — pisał — artykuły lokalne, — etyczne, — psychofizyczne... tak łatwo się nie umiera z głodu. Tania kuchnia, kawiarnia. Dom ma sześćdziesiąt stóp wysokości, a sztukaterja kruszy się... Ona mnie nienawidzi — ona mnie nienawidzi, bo ją pozbawiłem swobody. — Cokolwiekbądź uczynię, zostanie to zgwałceniem. — Mogę mieć tylko nadzieję, z biegiem lat, powoli... Za osiem dni przypada nów. Jutro posmaruję zawiasy. Do soboty muszę koniecznie wiedzieć kto ma klucz. W niedzielę wieczorem, podczas nabożeństwa, atak kataleptyczny—daj Boże, aby tylko nikt nie zachorował! — Cały plan mam jasno przed oczami. Przez gzyms okna uda się z łatwością — jeden sus — jeden ruch — ale trzeba owinąć chustką. — — Oto nadchodzi wielki inkwizytor. (*Odchodzi na lewo*).

(*Dr. Prokrustes ze ślusarzem nadch. z prawej.*)

DR. PROKRUSTES.

— — Okna są wprawdzie na trzeciem piętrze, a na dole posadzono pokrzywy. Ale cóż znaczą pokrzywy dla tych wynaturzonych. — Zeszłej zimy uciekł nam jeden przez otwór w dachu i mieliśmy tyle kłopotu z przyprowadzeniem, przywiezieniem i osadzeniem...

SLUSARZ.

Czy pan życzy kratę z żelaza kutego?

DR. PROKRUSTES.

Z kutego, a ponieważ nie może być wpuszczona, proszę zanitować.

SCENA PIĄTA.

(Sypialnia. — Pani Bergman, Ina Müller i doktór medycyny von Brausepulver. — Wendla w łóżku.)

DR. VON BRAUSEPULVER.

Ile lat ma pani właściwie?

WENDLA.

Czternaście i pół.

DR. VON BRAUSEPULVER.

Od piętnastu lat polecam pigułki Blaudego i w wielkiej liczbie wypadków zauważyłem wspaniałe rezultaty. Przekładam je ponad tran i wody żelaziste. Proszę

zacząć od trzech do czterech pigułek dziennie i powiększać dozę tak szybko, jak organizm zniesie. Pannie Elfrydzie baronównie von Witzleben zaordynowałem, aby co trzeci dzień brała o jednę pigułkę więcej. Baronówna nie zrozumiała mnie i codziennie brała o trzy pigułki więcej. W niespełna trzy tygodnie mogła już baronówna udać się z matką na kurację do Pirmontu. — Zwalniam panią od męczących spacerów i nadprogramowych potraw. Za to przyrzecz mi drogie dziecko, że będziesz używać ruchu i nie krępując się, żądać jedzenia, jak ci tylko powróci apetyt. Wówczas prędko minie bicie serca — i bóle głowy, dreszcze, zawroty głowy—i owe straszne zaburzenia w trawieniu. Panna Elfryda baronówna Witzleben w osiem dni po rozpoczęciu kuracji zjadała już całe pieczone kurczątko z młodymi kartoflami na śniadanie.

PANI BERGMAN.

Czy mogę panu doktorowi służyć szklaneczką wina?

DR. VON BRAUSEPULVER.

Dziękuję pani, kochana pani Bergman, mój powóz czeka. Niechże pani nie bierze tego do serca. Za parę tygodni nasza kochana mała pacjentka będzie znów we-

solą i rzeźką, jak gazela. Niech się pani uspokoi. Do widzenia pani Bergman. Do widzenia, drogie dziecko. Do widzenia paniom. Do widzenia.

(*Pani Bergman wyprowadza go do drzwi*).

INA.

(*przy oknie*).

— Oto znowu wasz platan przybiera pstre kolory. — Czy widzisz to z łóżka? — krótko trwa ten widok wspaniały.—Muszę już iść. Mąż czeka na mnie przed pocztą, a jeszcze przedtem muszę wstąpić do krawcowej. Muki dostanie pierwsze majteczki, a Karolowi mam sprawić nowe trykotowe ubranie na zimę.

WENDLA.

Czasem tak mi jest dobrze — ogarnia mnie radość i jasność słoneczna. Nie wiedziałam, że komuś może być tak dobrze! Chciałabym wyjść, w świetle księżyca, chodzić po łąkach, zrywać pierwiosnki nad brzegiem rzeki, a potem siąść na brzegu i marzyć... A potem przychodzi ból zębów, i myślę, że nazajutrz muszę umrzeć, robi mi się gorąco i zimno, przed oczami mi ciemno, wpadają potwory. — — Ile razy się obudzę, widzę, że matka płacze. O, jak to mnie boli, nie umiem ci powiedzieć Ino!

INA.

— Może ci poprawić poduszkę?

PANI BERGMAN.

(*wraca*).

Ón sądzi, że wymioty ustaną i wówczas będziesz mogla wstać. Ja także myślę, że lepiej, żebyś niedługo wstała Wendlo.

INA.

Jak tu następnym razem przyjdę, może już będziesz skakać po całym domu. — Bądź zdrowa mamo. Muszę dziś jeszcze koniecznie pójść do krawcowej. Niech cię Bóg ma w opiece kochana Wendlo. (*całuje ją*) Prędkiej, prędkiej poprawy!

WENDLA.

Bądź zdrowa Ino. — Przynieś mi pierwiosnki gdy przyjdziesz. Adieu. Pozdrów twych chłopców odemnie.

(*Ina odchodzi*).

WENDLA.

Cóż on ci jeszcze powiedział, matko?

PANI BERGMAN.

Nic nie mówił. — Powiedział, że panna von Witzleben bywała też bliską omdlenia. To się często zdarza przy blednicy.

WENDLA.

Czy on ci powiedział mamo, że ja mam blednicę?

PANI BERGMAN.

Masz pić mleko i jeść mięso i jarzyny jak ci powróci apetyt.

WENDLA.

O mamo, mamo mnie się zdaje, że ja nie mam blednicy...

PANI BERGMAN.

Masz blednicę, dziecko. Uspokój się Wendlo, uspokój się, masz blednicę.

WENDLA.

Nie, matko, nie. Ja wiem dobrze. Ja to czuję. Ja nie mam blednicy. Ja mam wodną puchlinę...

PANI BERGMAN.

Ty masz blednicę. On powiedział przecież, że masz blednicę. Uspokój się, dziewczyno. Wkrótce będzie ci lepiej.

WENDLA.

Nie będzie mi lepiej. Ja mam wodną puchlinę. Ja muszę umierać matko. — O matko, ja muszę umierać!

PANI BERGMAN.

Nie umrzesz, dziecko! Nie umrzesz... Miłosierny Boże, ty nie umrzesz!

WENDLA.

A więc czego płaczesz tak rozpaczliwie?

PANI BERGMAN.

Nie umrzesz, dziecko! Nie masz wodnej puchliny. Będziesz miała dziecko, dziewczyno! Będziesz miała dziecko! — O czemuś mi coś podobnego zrobiła!

WENDLA.

— Ja ci nic nie zrobiłam —

PANI BERGMAN.

O nie zapieraj się Wendlo! — Ja wiem wszystko. Patrz, ja bym się nie ośmieliła powiedzieć ci słowa. — Wendlo, moja Wendlo. —

WENDLA.

Ależ to niemożliwe, mamo. Przecież nie jestem mężatką!..

PANI BERGMAN.

Wielki, wszechmocny Boże, — otóż to właśnie, że nie jesteś mężatką! To jest właśnie to straszne! — Wendlo. Wendlo, Wendlo coś ty zrobiła!..

WENDLA.

Ja już nic nie wiem, Bóg świadkiem. Leżeliśmy na sianie... Nikogo na świecie, prócz ciebie, mamo, nie kochałam.

PANI BERGMAN.

Moja ty pieszczotko...

WENDLA.

O mamo, czemuś ty mi wszystkiego nie powiedziała!

PANI BERGMAN.

Dziecko, dziecko, poco sobie nawzajem robić wyrzuty! Panuj nad sobą! Nie rozpaczaj, moje dziecko! Czternastoletniej dziewczynie to powiedzieć! Widzisz, prędzej bym się spodziewała, że słońce zagaśnie. Nie postąpiłam z tobą inaczej, jak moja dobra, kochana matka postępowała zemną. O miejmy ufność w Bogu, Wendlo; wierzmy w jego miłosierdzie iróbmy co do nas należy! Widzisz, jeszcze nic się nie stało dziecko. A jeśli nie będziemy małoduszni, to nas i dobry Bóg nie opuści. — Bądź odważną, Wendlo, bądź odważną!..

Czego, czego tak drżysz?

WENDLA.

Ktoś puka.

PANI BERGMAN.

Nic nie słyszałam, drogie serce.

(*Idzie do dzwi i otwiera*).

WENDLA.

Ach, ja słyszałam wyraźnie. — — Kto tam jest?

PANI BERGMAN.

— Nikt — — Schmidtowa z Ogrodowej ulicy. — Przychodzicie w samą porę, matko Schmidt.

SCENA SZÓSTA.

(*Winobrańcy w winnicy.—Na zachodzie słońce zachodzi za wierzchołki gór. Z doliny głośny dźwięk dzwonków. Jaś Rilow i Ernest Rebel przewracają się w trawie na szczycie winnicy*).

ERNEST.

Spracowałem się.

JAŚ.

Nie smućmy się!—Szkoda każdej chwili.

ERNEST.

Dziś już nie można jeść więcej, a jutro będą pod tłocznią.

JAŚ.

Zmęczenie jest dla mnie równie nieznośnem, jak głód.

ERNEST.

Ach nie mogę już więcej.

JAŚ.

Jeszcze to błyszczące grono!

ERNEST.

Nie mam już sił.

JAŚ.

Gdy nachylę grono, będzie się nam kołysać od ust do ust. Nie potrzebujemy go dotykać. Objemy jagody i puścimy szypułki z powrotem.

ERNEST.

Ledwie się człowiek zdecyduje, i patrz, już znowu powracają utracone siły.

JAŚ.

Do tego ten płonący firmament — i dzwony wieczorne — nie wiele więcej obiecują sobie od przyszłości.

ERNEST.

Ja siebie już czasem widzę, jako czcigodnego proboszcza — z milutką gosposią. Będę miał bogatą bibljotekę i urzędy

i szacunek wszystkich sfer. Sześć dni będę miał do namysłu, a siódmego otworzę usta. Na spacerze uczniowie i uczennice witać mnie będą z szacunkiem, a po powrocie do domu zastanę pachnącą kawę i ciasto, a z ogrodu dziewczyna przyniesie jabłka. — Czy możesz sobie wyobrazić coś ładniejszego.

JAŚ.

Wyobrażam sobie: wpół przymknięte rzęsy, wpół otwarte wargi i tureckie draperje. — Nie wierzę w patos. Widzisz, nasi starzy pokazują nam poważne twarze, aby osłonić swoje głupstwa. Pomiędzy sobą nazywają się nawzajem baranami, jak i my. Ja to znam. — Gdy zostanę miljonerem, postawię Panu Bogu pomnik. Wyobraź sobie przyszłość, jako miskę mleka z cukrem i cynamonem. Jeden wywraca ją i wyje, inny miesza wszystko i poci się. Czemu nie wypić? Albo, czy sądzisz, że tego się nie można nauczyć.

ERNEST.

— Pijmy więc!

JAŚ.

Co zostanie, zdziobią kury. — Ja już się wykręciłem z niejednego potrzasku...

ERNEST.

Pijmy Jasiu! — Czego się śmiejesz?

JAŚ.

Czy już znowu zaczynasz?

ERNEST.

Jeden musi zacząć.

JAŚ.

Gdy za lat trzydzieści wspomnimy ten wieczór, wyda nam się on być może niewymownie pięknym!

ERNEST.

O jak się teraz wszystko samo z siebie robi.

JAŚ.

A więc czemu nie!

ERNEST.

Jeżeli wówczas będziemy samotni — może i zapłaczemy.

JAŚ.

Nie smućmy się

(*całuje go w usta*)

ERNEST.

(*całuje go*)

Wyszedłem z domu, aby z tobą pogadać i zaraz wrócić.

JAŚ.

Oczekiwałem cię.—Cnota nieźle ubiera, ale tylko imponujące figury.

ERNEST.

Na nas wisi ona jeszcze niezgrabnie. — Nie uspokoiłbym się, gdybym ciebie tu nie spotkał. — Kocham cię Jasiu, jak jeszcze nikogo nie kochałem na świecie...

JAŚ.

Nie smućmy się!—Gdy za lat trzydzieści wspomnimy, może będziemy drwili!—a teraz wszystko takie piękne! Góry płoną, winne grona chylą się nam do ust, a wiatr wieczorny ociera się o skały jak rozigrany kotek...

SCENA SIÓDMA.

(Jasna noc listopadowa. U drzew i krzaków szeleszczą zeschłe liście. Postrzępione chmury przepływają pod księżycem. Melchjor przechodzi przez mur kościelny).

MELCHJOR.

(zeskakując z muru)

Tu mnie nie znajdzie ta sfora.—Podczas gdy oni odwiedzają domy rozpusty, mogę odetchnąć i powiedzieć sobie jak daleko zaszedłem...

Ubranie w strzępach, kieszenie puste, wobec najniewinniejszych nie jestem bezpieczny. — Cały dzień muszę się starać, aby iść dalej lasem...

Przewróciłem krzyż. — Kwiatki dziś dopiero zmarzły! — Naokoło goła ziemia. W królestwie zmarłych!

Przez otwór w dachu uciec było łatwo, ale ta droga! — Na to nie byłem przygotowany...

Zawisłem nad przepaścią — wszystko zginęło, zapadło się. — O czemu raczej tam nie pozostałem!

Czemu ona za mnie! — Czemu nie winowajca! — Niepojęta ostrożność! — Byłbym kamienie tłukł i głód cierpiał!

Co mnie jeszcze przy życiu utrzymuje? Zbrodnia następuje po zbrodni. Oddany jestem bagnu. Nie dość sił, aby skończyć...

Nie byłem złym! — Nie byłem złym! — Nie byłem złym.

Z taką zazdrością jeszcze żaden śmiertelnik nie błądził między grobami.

O gdyby zmysły postradać — jeszcze tej nocy!

Muszę tam poszukać, pomiędzy ostatnimi grobami.—Wiatr gwiżdże na każdym kamieniu z innego tonu, — przygnębiająca

symfonja! — Zbutwiałe wianki rozrywają się i kołyszą w kawałkach na długich nitkach dokoła marmurowych krzyży — las strachów na ptaki. Strach na ptaki na każdym grobie, jeden bardziej przerażający od drugiego, wysoki, — djabli przed nim uciekają. Złote litery mają blask zimny... Wierzba płacząca jęczy i przesuwa olbrzymie palce po napisie...

— Modlący się aniołek — tablica. — Chmura rzuca cień. — Jak to spieszy i wyje! Niby pochód wojska gna na zachodzie. — Ani jednej gwiazdy na niebie.

Barwinek dokoła ogródka?—Barwinek?

— Dziewczyno...

TU SPOCZYWA
W BOGU

WENDLA BERGMAN

urodzona 5 Maja 1878

zmarła na blednicę

dnia 27 Października 1892 r.

* * *

BŁOGOSŁAWIENI CZYSTEGO SERCA.

A ja jestem jej mordercą. — Ja jestem jej morderca! — Mnie pozostaje rozpacz.— Mnie nie wolno płakać. — Precz stąd. — Precz!

MAURYCY STIEFEL.

(*z głową pod pachą, potyka się przez groby*)

Chwilę, Melchjorze! Sposobność nie nadarzy się tak prędko. Nie przeczuwasz, co jest związane z godziną i miejscem.

MELCHJOR.

Skąd przychodzisz?

MAURYCY.

Stamtąd — z pod muru. Tyś mój krzyż przewrócił. Leżę pod murem. — Podaj mi rękę, Melchjorze...

MELCHJOR.

Tyś nie Maurycy Stiefel.

MAURYCY.

Podaj mi rękę. Jestem pewien, że mi podziękujesz. Tak łatwo nie będzie ci nigdy! Wyjątkowo szczęśliwe spotkanie. Umyślnie po to przyszedłem...

MELCHJOR.

Czyż ty nie śpisz?

MAURYCY.

Nie tem, co wy nazywacie snem. — Siedzimy na wieżach, na wysokich dachach -- gdzie chcemy...

MELCHJOR.

Nie macie spokoju?

MAURYCY.

To tak dla przyjemności. — Ocieramy się o majowe drzewa, o samotne leśne kaplice. Przelatujemy ponad ludowemi zgromadzeniami, ponad ogrodami, miejscami zabaw.—W mieszkalnych domach siedzimy w kominie lub za firanką łóżka. — Podaj mi rękę. Nie utrzymujemy ze sobą stosunków, ale wiemy co się dzieje na świecie. Wiemy, że głupstwem jest wszystko, co ludzie robią i do czego dążą i śmiejemy się z tego.

MELCHJOR.

Cóż to pomoże?

MAURYCY.

Na co ma pomódz? — nas nic już nie dosięgnie, ani złe ani dobre. Stoimy wysoko, wysoko, ponad tem, co ziemskie. — Każdy sam dla siebie. Nie utrzymujemy ze sobą

stosunków, bo to nas nudzi. Żaden z nas niema nic takiego, coby mógł stracić. Ponad rozpacz i szczęście jesteśmy jednakowo bezmiernie wzniesieni. Jesteśmy z siebie zadowoleni, — oto wszystko! — Żyjącymi pogardzamy niewypowiedzianie, zaledwie że mamy dla nich litość. Bawią nas swoimi czynami, bo jako żyjący, właściwie, nie są godni litości. Uśmiechamy się wobec ich tragedji — i robimy uwagi. — Podaj mi rękę! Gdy mi podasz rękę, zaśmiewać się będziesz z uczucia, z którem mi rękę podajesz...

MELCHJOR.

Czy ty się nie brzydzisz?

MAURYCY.

Na to stoimy za wysoko. Uśmiechamy się!—Podczas mego pogrzebu byłem w orszaku żałobnym. Bardzo się dobrze bawiłem. To jest wzniosłe Melchjorze! Wyłem jak nikt i przysuwałem się do muru, aby za boki się trzymać od śmiechu. Nasza nieporównana wzniosłość jest właściwie jedynym punktem widzenia, pod którym da się to błocko znieść... I ze mnie śmiano się, dopóki się nie wzniosłem.

MELCHJOR.

Nie mam ochoty śmiać się z siebie.

MAURYCY.

...Żywych niema czego żałować. Przyznam się, że sam o tem nie myślałem. A teraz jest mi to niepojętem, jak można być tak naiwnym. Teraz widzę oszustwo tak jasno, że mi go ani chmureczka nie zaciemnia. — Jakże możesz jeszcze zwlekać Melchjorze? Podaj mi rękę! Za chwilę staniesz wysoko ponad sobą. — Twoje życie jest grzechem zaniedbania...

MELCHJOR.

Czy możecie zapomnieć?

MAURYCY.

My możemy wszystko. Podaj mi rękę! Możemy żałować młodzieży, że pielęgnuje swą tęsknotę za idealizmem i starych, że im ze stoickiej równowagi serce pęka. Widzimy, jak monarcha drży przed pieśnią uliczną, a lazzarone przed dźwiękiem trąby ostatecznej. Ignorujemy maskę komedjantów i widzimy, jak poeta nakłada w ciemnościach maskę. Widzimy zadowolonego żebraka, spracowanego i obciążonego kapi-

talistę. Obserwujemy zakochanych i widzimy, jak się przed sobą rumienią, domyślając się, że są oszukanymi oszustami. Widzimy rodziców, wydających na świat dzieci, aby módz do nich zawołać: Jacyście szczęśliwi, że macie takich rodziców! — i widzimy, jak dzieci robią toż samo. Znamy niewinność w jej samotnych cierpieniach miłosnych, dziewkę uliczną, podsłuchującą lektury Szylera... Widzimy jak Bóg i djabeł nawzajem się jeden przed drugim blamują i mamy niewzruszone przekonanie, że obaj są pijani... Co to za spokój i zadowolenie, Melchjorze! — Podaj mi tylko mały palec. — Możesz osiwieć zanim znajdziesz tak odpowiednią chwilę!

MELCHJOR.

— Jeżeli zgodzę się, Maurycy, to stanie się to z pogardy dla samego siebie. — Co mi dodawało odwagi, leży w grobie. Nie sądzę się już zdolnym do szlachetnych wzruszeń — i nie spostrzegam nic, nic, coby mi stanęło na drodze do upadku. — Jestem najgodniejszą potępienia istotą na świecie...

MAURYCY.

Czemuż więc zwlekasz...?

(Zamaskowany pan wchodzi)

ZAMASKOWANY PAN.

(do Melchjora)

Drżysz przecież z głodu. Nie jesteś zdolnym sądzić. (*do Maurycego*) Idź pan sobie.

MELCHJOR.

Kto pan jesteś?

ZAMASKOWANY PAN.

To się okaże. (*do Maurycego*) Zmykaj pan! — Co masz tu do roboty! — Dlaczego nie masz głowy na karku?

MAURYCY.

Zastrzeliłem się.

ZAMASKOWANY PAN.

To zostań tam, gdzie należy. Jużeś przecież przeminął! Nie naprzykrzaj nam się swoim grobowym zaduchem. Niepojęte — przyjrzyj się pan swoim palcom. Tam do djabła, już się kruszą!

MAURYCY.

Proszę niech mnie pan nie odpędza...

MELCHJOR.

Kto pan jesteś mój panie?

MAURYCY.

Niech mnie pan nie odsyła! Proszę pana. Pozwól mi pan przyjąć udział w rozmowie; nie będę panu oponował — Tam, pod ziemią, jest tak wstrętnie.

ZAMASKOWANY PAN.

Czemuż przechwalasz się wzniosłością?—Przecież wiesz, że to jest humbug— kwaśne winogrona! Czemu tak płynnie kłamiesz — ty upiorze!... Jeżeli to dla pana jest tak wielkiem dobrodziejstwem, to zostań sobie. Ale strzeż się pan zmyślań dla przechwałki — i odsuń swoją trupią rękę.

MELCHJOR.

Czy mi pan nareszcie powiesz kim jesteś?

ZAMASKOWANY PAN.

Nie. — Proponuję ci, abyś mi zaufał. Przedewszystkiem, dbałbym o twoje utrzymanie.

MELCHJOR.

Czy pan jesteś moim ojcem?

ZAMASKOWANY PAN.

Czy nie byłbyś poznał swego ojca po głosie?

MELCHJOR.

Nie.

ZAMASKOWANY PAN.

— Twój ojciec szuka w tej chwili pociechy w silnych ramionach twojej matki. Ja ci świat otwieram. Twoja chwilowa rozpacz wypływa z twego nędznego położenia. Gdy zjesz ciepłą kolację, będziesz z tego drwił.

MELCHJOR.

(*do siebie*)

To może być tylko jeden z djabłów.

(*głośno*)

Po tem com zawinił, gorąca kolacja nie może zwrócić mi spokoju!

ZAMASKOWANY PAN.

To zależy od kolacji! Tyle ci tylko mogę powiedzieć, że ta mała byłaby z łatwością urodziła. Była znakomicie zbudowaną. Zginęła jedynie przez środki na poronienie matki Schmidtowej. — — Ja cię wprowadzę między ludzi. Dam ci sposobność rozszerzenia w bajeczny sposób twoich horyzontów. Zapoznam cię bez wyjątku ze wszystkiem, co świat przedstawia interesującego.

MELCHJOR.

Kto pan jesteś? Kto pan jesteś? Nie mogę zaufać człowiekowi, którego nie znam.

ZAMASKOWANY PAN.

Nie poznasz mnie, dopóki mi nie zaufasz.

MELCHJOR.

Sądzi pan?

ZAMASKOWANY PAN.

To fakt. — Zresztą nie masz wyboru.

MELCHJOR.

W każdej chwili mogę rękę podać temu oto memu przyjacielowi.

ZAMASKOWANY PAN.

Twój przyjaciel jest szarlatanem. Nikt się nie śmieje, kto posiada jeszcze choć grosz gotówki. Wzniosły humorysta jest najnędzniejszem, najbardziej godnym litości stworzeniem wszechświata.

MELCHJOR.

Niech sobie humorysta będzie kim chce; pan mi powiedz kim jesteś, albo podaję rękę humoryście.

ZAMASKOWANY PAN.

A więc?

MAURYCY.

On ma słuszność, Melchjorze. Ja brawurowałem. Daj się przez niego uraczyć i zużytkuj go. Chociaż zamaskowany — istnieje on przecie.

MELCHJOR.

Czy pan wierzy w Boga?

ZAMASKOWANY PAN.

To zależy od okoliczności.

MELCHJOR.

Zechce mi pan powiedzieć kto wynalazł proch?

ZAMASKOWANY PAN.

Bertold Szwarc—alias Konstanty Anklicen, mnich franciszkanin, około roku 1330 we Fryburgu.

MAURYCY.

Co bym dał za to, żeby był tego zaniechał.

ZAMASKOWANY PAN.

To byłbyś pan się powiesił!

MELCHJOR.

Co pan myślisz o moralności?

ZAMASKOWANY PAN.

Ty nicponiu, — czy jestem twoim uczniem?

MELCHJOR.

Czy ja wiem kto pan jesteś?

MAURYCY.

Nie kłóćcie się! — Proszę, nie kłóćcie się. Co z tego wyniknie! — Pocóż tu siedzimy razem, dwuch żywych i jeden umarły, o drugiej w nocy na cmentarzu, jeżeli mamy się kłócić, jak pijacy! — Z przyjemnością będę asystował przy zawieraniu układu. — Jeśli się chcecie kłócić, biorę głowę pod pachę i idę.

MELCHJOR.

Z ciebie zawsze ten sam tchórz.

ZAMASKOWANY PAN.

Upiór ma słuszność. Trzeba mieć na uwadze swą godność. — Pod moralnością rozumiem realny wytwór dwóch imaginacyjnych wielkości. Imaginacyjne wielkości są: wola i mus. Wytwór nazywa się moralnością i jego realne istnienie nie da się zaprzeczyć.

MAURYCY.

Czemuś mi pan tego pierwej nie powiedział! — Moja moralność wpędziła mnie do grobu. Dla moich drogich rodziców chwyciłem za morderczą broń. „Czcij ojca twego i matkę twoją, a będą przedłużone dni twoje na ziemi.“ W stosunku do mnie pismo święte strasznie się zblamowało.

ZAMASKOWANY PAN.

Nie rób sobie żadnych iluzji, drogi przyjacielu! Pańscy kochani rodzice takżamoby od tego nie umarli, jak i pan. Sciśle wziąwszy, na zdrowie by im poszło, gdyby się nahałasowali i nakrzyczeli.

MELCHJOR.

Może to i prawda. — Mogę jednak napewno powiedzieć, mój panie, że gdybym poprzednio Maurycemu podał był rękę, jedynie tylko moja moralność byłaby za to odpowiedzialną.

ZAMASKOWANY PAN.

Dlatego też ty nie jesteś Maurycym!

MAURYCY.

Nie sądzę, aby różnica była tak rzeczywistą, żebyś mnie pan przypadkowo nie mógł napotkać wówczas, szanowny

panie, gdym z rewolwerem w kieszeni błądził pomiędzy olchami.

ZAMASKOWANY PAN.

Czy pan sobie mnie nie przypominasz? Stałeś pan prawdopodobnie w ostatniej chwili jeszcze pomiędzy życiem a śmiercią. Zresztą, moim zdaniem, nie tu miejsce, aby tak głęboko sięgającą dysputę przedłużać.

MAURYCY.

Zapewne, chłodno się robi, moi panowie! Wprawdzie ubrali mnie w świąteczny garnitur, ale nie dali mi bielizny.

MELCHJOR.

Żegnaj, drogi Maurycy. Dokąd ten człowiek mnie zaprowadzi, nie wiem. Ale zawsze jest on człowiekiem...

MAURYCY.

Nie karz mnie za to, Melchjorze, że chciałem cię zgubić! To było stare przywiązanie. Zgodziłbym się całe życie skarżyć i jęczyć, aby raz z tobą wyjść na spacer.

ZAMASKOWANY PAN.

W rezultacie każdy ma za swoje. — Pan uspokajającą świadomość, że już *nic*

nie postradasz, ty denerwujące zwątpienie we *wszystko*. -- Bywaj pan zdrów.

MELCHJOR.

Żegnaj Maurycy! Dziękuję ci serdecznie, żeś mi się jeszcze ukazał. Ileż swobodnych, jasnych dni przeżyliśmy ze sobą przez tych lat czternaście! Przyrzekam ci, Maurycy, niech się co chce stanie, choćbym się w nadchodzących latach dziesięć razy miał zmienić, choćbym wzniósł się w górę, lub upadł, ciebie nie zapomnę nigdy.

MAURYCY.

Dziękuję, dziękuję ci, kochany.

MELCHJOR.

...A kiedyś, gdy będę starym człowiekiem z siwemi włosami, może staniesz mi się ty właśnie bliższym, aniżeli wszyscy współcześni.

MAURYCY.

Dziękuję ci. — Szczęśliwej drogi, moi panowie. Nie zatrzymujcie się dłużej.

ZAMASKOWANY PAN.

Chodź dziecko! (*bierze Melchjora pod rękę i oddala się z nim*).

MAURYCY.

(*sam*)

— Oto siedzę i trzymam mą głowę w ramionach. — — Księżyc zasłania swą twarz, odsłania ją i ani na włos nie wygląda rozumniej... Wrócę więc na swoje miejsce, podniosę krzyż, który mi ten warjat tak bezwzględnie zdeptał, a kiedy wszystko będzie w porządku, położę się na grzbiecie, i uśmiechnę się...

KONIEC.

Termin zwrotu lub zgłoszenie prolongaty książki

16 I 76

12 IV + 6z

27 VI

25 IX

25 XI + 6z

21 I 77

17 IV 77

9 IV 77

20 09 11

20.09.86